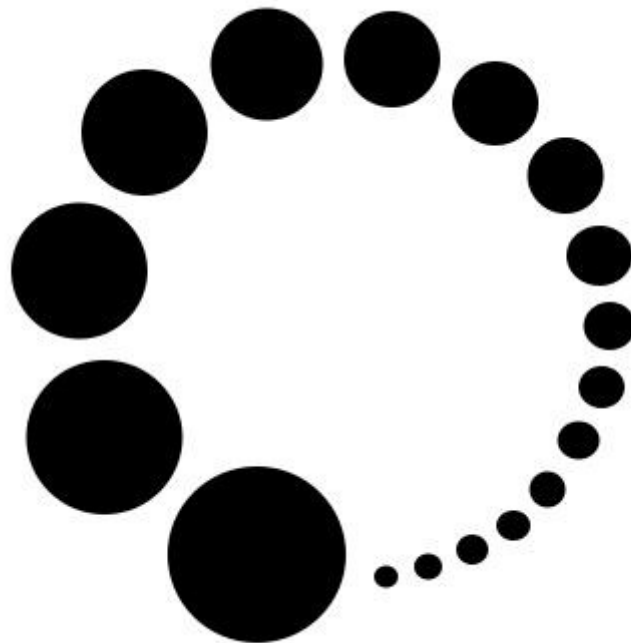


Plot Pulchopny

Ojczyzna
Naród
Patriotyzm



powered by Ruah E!

e-book darmowy przeznaczony do korespondencji e-mailowej

Rozróżnienie jest proste, oczywiste i bardzo intuicyjne. Patriotyzm to miłość do własnego narodu, a nacjonalizm, jako jedna z form zbiorowej ksenofobii, jest tylko nienawiścią do narodów obcych...

autor

Wstęp

Książka ta powstała jako odpowiedź na wezwanie jednego z czołowych polskich polityków, który stwierdził, iż książka taka powinna powstać, gdyż w Polsce jest wiele książek, które w danym momencie powstać powinny, a tak naprawdę nigdy nie powstają.

Spróbujemy w niej odpowiedzieć na bardzo palącą potrzebę dogmatyzacji pewnych pojęć, a więc nie będzie to z całą pewnością książka bogata w felietony i wywiady z ludźmi, którzy coś tam rzekomo uważają na ten temat. Będzie to książka młodego pokolenia, tak zwanego „pokolenia remontu”. Określenie to pochodzi z piosenki najwybitniejszego polskiego rappersa L.U.C.

Pokolenia remontu urodzonego tuż przed stanem wojennym, które to pokolenie miało ten niekłamany przywilej obserwować wszystkie najważniejsze przemiany w Polsce i na świecie, a to, co się wtedy działo, było czymś o wiele bardziej znaczącym, niż kolejna zapisana karta historii.

Co tu dużo mówić – nigdy tak naprawdę pokolenie remontu nie dojrzało i wrzucone w realia nowej rzeczywistości stworzyliśmy nową Polskę, gdzie nikt nie pozwala nam zająć zdania. Dlaczego? Byliśmy niby zbyt młodzi, aby cokolwiek zrozumieć, co niestety zaciążyło na odbiorze naszego pokolenia jako niezdolnego do podjęcia odpowiedzialności za lepsze jutro.

Zajęliśmy się tworzeniem Polski na wzór, obraz i podobieństwo USA, a wiedzę tą czerpaliśmy tylko i wyłącznie z komercyjnej sztuki, jaką

serwowało nam Hollywood. Jakie było nasze zdziwienie w erze Internetu, gdy dowiedzieliśmy się, iż Ameryka wcale tak nie wygląda. Amerykanie nie rozumieją nawet wartości, które pokazywane są w tych filmach, książkach, czy muzyce, a samo życie w USA jest na tyle od tej sztuki odległe, że jedyny wniosek cisnący się na usta powstać może tylko w sposób naturalny i organiczny – USA pokazuje nam życie, za którym tak naprawdę tęskni i którego tak naprawdę w ogóle nie ma. Ich złudzenia są, były i zapewne już na zawsze będą motorem naszej moralności, marzeń, czy umiejętności odnajdywania perspektyw w przyszłości. Po prostu nadziei.

Moje poglądy to poglądy bardzo centrolewicowe, jednak obecny obraz centrolewicy, jako zrebrandingowanej lewicy, z antyklerykalnymi i proskrobankowymi tezami bardziej zbliża mnie do środowiska Prawa i Sprawiedliwości, niż do Platformy Obywatelskiej, polskiej lewicy, czy innych egzotycznych ugrupowań. Powstających zresztą tylko dlatego, iż grupa zjaranych jajogłowych od „okrągłych kart do głosowania” (najprawdopodobniej w ślimaczki o różnej wielkości) postanawia raz na jakiś czas udowodnić, iż Rzeczpospolita Polska to jeden wielki przepracowany i sympatyczny projekt. Sam jestem omnibusem i mam raczej niskie zdanie o poglądach typu „bądź dobry w jednym, gdyż jeśli będziesz próbował być dobry we wszystkim, nie będziesz dobry w niczym”. Bycie omnibusem to jednak zajęcie na pełen etat.

Już na wstępie zwrócę uwagę na kilka rzeczy, które mnie, jako człowieka żyjącego w powiecie, w którym operuje się najczystsza formą polszczyzny (co jest umotywowane historycznie) najbardziej razi. W tej książce używać

będziemy poprawnej formy pisania słowa „Internet”, czyli pisać to słowo będziemy od dużej litery. Słowa Rzeczpospolita, albo Rzeczypospolitej, które nawet przez najwyższej rangi polityków odmieniane są błędnie, odmieniać będziemy prawidłowo, czyli zgodnie z zasadą Rzeczy-pospolitej, ale Rzeczpospolita, choć również np. Rzech-pospolitą. Istotnym dla mnie jest zawsze ważny apel Polaków, gdzie pewna forma naszej tytułomani bodzi czyjeś serca, uszy i umysły. Wszędzie tam, gdzie będziemy mówić o byłym Premierze, czy byłym Wicepremierze, taka osoba przedstawiana będzie z funkcją polityczną, którą naprawdę pełniła, a której już nie pełni. Były, czy obecny wicepremier nie będzie więc tytułowany Premierem, bo to właśnie ta tytułomania. Tam zaś gdzie pojawiłaby się jednak pokusa powiedzieć „były Prezydent”, będziemy uważać tą formę za wyjątkowo niepoprawną. Otóż Polska w 1989 roku podczas postanowień okrągłostołowych przyjęła szereg regulacji, również pochodzących ze Stanów Zjednoczonych. Na mocy tych porozumień, pierwotnie dla nas z USA, Tytuł Prezydencki jest niezbywalny i Prezydentem jest się nawet po śmierci. Odróżnia to Tytuł Prezydencki od innych funkcji politycznych. Oczywiście zgodnie z naszą Konstytucją Prezydent ma prawo maksymalnie do dwóch kadencji, ale to, że już po jednej, czy dwóch kadencjach urząd ten sprawuje ktoś inny, nie zmienia faktu, iż jeśli ktoś raz został Prezydentem Rzeczypospolitej Polski będzie tym Prezydentem już zawsze.

Użyłem tu formy „Rzeczypospolitej Polski” z rozmysłem, gdyż formę „Rzeczypospolitej Polskiej” uznaję za niepoprawną, a wręcz nieprawidłową. W tym układzie rzeczownik ma pierwszeństwo nad przymiotnikiem, ale

rzeczowniki powinny być tu dwa: „Rzecz” oraz prawidłowo „Polska” też powinna być tu rzeczownikiem, gdyż żyjemy w Polsce, a nie w „czymś tam polskim”. Nie jest bowiem tak, że nagle, ni stąd, ni zowąd My, Polacy, chwyciliśmy w garść tą rzecz i jest ona taka pospolita i jakaś taka „polskowata”. Rzeczownik „Polska” ma tu więc pierwszeństwo nad rzeczownikiem „Rzecz”, a stąd prawidłowo powinniśmy mówić np. „tej Rzeczypospolitej Polski”.

Padną tu też zwroty z nietypowym zaprzeczeniem typu „co by się nie stało” i choć wiem, iż całkiem inaczej uważa Profesor Miodek, zwrot ten uznawać będziemy za poprawny. To, że zaistniał w przestrzeni języka polskiego wynika z faktu reakcji polskiej młodzieży na masową naukę języka angielskiego od lat 90. i kontrast pomiędzy naszym podwójnym zaprzeczeniem, a brakiem takowego w języku angielskim.

Ta książka traktuje o pewnym kole ratunkowym dla całej polityki. To nie pytanie do publiczności i to nie „pół na pół”. To raczej telefon do przyjaciela. My wszyscy, również Polacy, żyjemy w czasach, gdy fakt konieczności zamiatania spraw pod dywan i uszanowania tajemnicy państwowej dla ratowania całego narodu, dodatkowo w atmosferze zasłony dymnej, zapchał nas w ślepy zaułek. Zaczęliśmy tak łatwo nawykać do usprawiedliwień kłamstwa, że nawet Ci najbardziej sprawiedliwi wśród nas nawet nie dostrzegają jak bardzo ta rzeczywistość pchnęła ich w pęta hipokryzji. Niestety nie potrafimy odróżnić dziś białego od czarnego, a tym bardziej wgłębić się w istotę barw i kolorów, twierdząc, iż wszystkie nasze „wrażenia” są złudą, którą należy przeprogramować dla bycia innym i

rzekomo lepszym człowiekiem. Tak... sól przestała być już słona i nie ma jej czym w tym przypadku dosolić. Myślę, iż podzielam zdanie wielu osób z mojego pokolenia, iż w całej tej chmurze pełnej emocji... gdzieś tam, tam gdzie szukać trzeba, jest prawda. Prawda, którą trzeba odnaleźć i to właśnie tą prawdą należy się sugerować przy dokonywaniu wyborów. Argumenty „a dlaczego tak, a nie inaczej” po prostu do wielu z nas już dziś nie docierają.

Poniekąd spamowanie przestrzeni publicznej wciąż narastającymi popsutymi pomysłami na Polskę w copywriterskim opakowaniu nawiązującym do czegoś, co w tym opakowaniu kiedyś było, a czego już tam nie ma, przypomina mi bardziej sytuację, w której część wschodzących polityków pragnie zdobyć nasze poparcie, gdyż tak zapierdzielają z taczka, że nawet im się z niej nie wysypuje. Niestety nie mają tej taczki czym załadować. Nie ma niby na to ani czasu, ani pieniędzy. Tym czymś, czym należałoby „załadować tą tawkę” są niestety ideały, a tych, również niestety, w Polskiej polityce coraz bardziej dziś brak. Mamy tu kryzys ideałów, a to one są motorem polityki. Czym więc są i po co są te ideały?

Odpowiemy na te i wiele innych pytań, a przede wszystkim przebrniemy przez obraz propozycji pojmowania tego świata. Podważymy wszystkie ugruntowane przez establishment poglądy i zaproponujemy alternatywę. Podstawowe jednak pytanie, które dziś w Polsce musi zostać odpowiedziane – czy w ogóle jest nam potrzebny patriotyzm, ojczyzna i naród, zostanie jednak odpowiedziane pozytywnie. Tak odpowie osoba, która przede wszystkim jest egalitarystą i eklektykiem. Jak to możliwe? No właśnie... zapraszam do zapewne wciągającej lektury.

Rozdział I

Czym naprawdę jest NACJONALIZM?

Zacznę przewrotnie. Być może od końca, ale chyba tak naprawdę od chronologicznego początku. Zacznę od szympanków i naszej ewolucji z tego gatunku, gdyż chciałbym rzucić tu pewne nowe światło. Proszę Cię drogi Czytelniku przebrnij przez tą część lektury, gdyż każdą skomplikowaną strukturę zaczyna się tłumaczyć od jej organicznych podstaw.

Wiele dyskusji przetoczyło się na temat teorii ewolucjonizmu, czy darwinizmu, jednak pragnę podkreślić, że to nie Darwin wpadł na to, co określa się dziś mianem darwinizmu. Rzekomo wpadł na koncepcję, gdyż był wybitnym podróżnikiem i pewnego razu przechadzając się po plaży i obserwując żółwie... no cóż większość z nas pewnie zna tę historyjkę, tak promowaną przez pewne środowiska, ale zmartwię właśnie te środowiska... to wszystko bzdura.

Darwin był takim ówczesnym Niesiołowskim. Również z temperamentu. Naukowcem typu „taboret, kaloryfer i drzwi”. Jego praca naukowa polegała wyłącznie na obserwowaniu robaczek, których zresztą miał w swoim gabinecie okazałą kolekcję. Nigdy zresztą nigdzie nie podróżował, nie licząc chyba podróży w wiadomym celu. Wszyscy to robimy. Całą teorię niestety ukradł Alfredowi Russelowi Wallace’owi, który mu się sprytnie podłożył, bo jako osoba „spoza środowiska” nie miał inaczey szans na wypromowanie tak ważnych rewelacji. To właśnie ten ostatni był podróżnikiem, a obaj o sobie

wiedzieli tyle, iż chcą opracować teorię życia na Ziemi niezależną od tez zawartych w Biblii. Wallace był jednak człowiekiem wierzącym.

Wallace oczywiście korespondował z Darwinem, który najpierw nie uważał go za poważnego oponenta, potem starał się go zbyć, następnie za wszelką cenę zniechęcić, a kiedy doszło, do tego, do czego doszło, przerażony i wściekły zmuszony został przez znajomych z uczelni opracować pierwszą wspólną pracę pod dwoma nazwiskami. Oczywiście szybko ją przemilczano. Traktuje o tym świetnie dokument „Wallace in Borneo” oraz „Wallace in Spice Islands”, dostępny zresztą w Internecie. Gorąco polecam. Dziś środowisko naukowe, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii bardzo rehabilituje wpływ Wallace’a na powstanie teorii o ewolucjonizmie, która niestety w darwinowskiej formie, choć bardzo prostej i sympatycznej, nie jest do końca prawdziwa.

Co bowiem oznacza, iż dana populacja wydaje na świat nowe pokolenie z genotypem zmienionym w sposób drobny i przeżywają tylko te osobniki, które potrafią dostosować się do otoczenia? Oznacza to tyle, iż jeśli jakiś gen został zmieniony w przypadkowej mutacji, a gen ten odpowiada za jakieś konkretne białko, w znakomitej większości przypadków będzie to gen uszkodzony i z niemal nieskończonej liczby możliwości form, jakie dane białko może przybrać, w większości przypadków gen ten okaże się cechą letalną, czyli prowadzącą do śmierci (statystycznie większość ludzi ma jedną cechę letalną, a dopiero dwie i więcej najczęściej prowadzą do śmierci). Owszem, raz na jakiś czas taka drobna zmiana okaże się pozytywna, jednak środowisko naukowe każe nam zaiste WIERZYĆ, iż teoria ta jest jedyną,

która buduje życie na Ziemi. Życie na Ziemi jeszcze od czasów koacerwatów, czyli protoplastów komórek, a tak naprawdę banieczek mydlanych zbliżonych do dzisiejszych komórek.

Pokażę Ci drogi Czytelniku, iż zasada „przeżyją tylko najbardziej przystosowani” ma o wiele szersze spektrum, a sama Natura, zawsze mądrzejsza od człowieka (niektórym z nas to zapewne osobiście powiedziała), czasem swymi prawidłami jest tak niepokorna, że naukowcy za wszelką cenę starają się pewne rzeczy przemilczeć.

Jakiś czas temu, pewna grupa naukowców zaobserwowała pewne zjawisko w genetyce. Występuje ono bardzo rzadko, ale ma o wiele bardziej znaczące konsekwencje, niż sam darwinizm. Raz bowiem na pewien czas w danej populacji pojawia się osobnik, bądź osobnicy, którzy cechują się bardzo poważną zmianą genetyczną, która jest swoistym zespołem genetycznym. Znamy takie zespoły, a najpopularniejszym jest chyba Zespół Downa. Jednak ten sam mechanizm powoduje, że raz na jakiś wyjątkowy czas dochodzi do takiego zespołu genetycznego, który jest bardzo pozytywny i pozwala danemu osobnikowi nie tylko przejąć kontrolę nad własną populacją, ale też na przykład zamienić gatunek na wymarciu w gatunek ekspansywny o szerokich perspektywach. Naukowcy nazwali teorię o takim zjawisku „teorią o supermutantach”. Oczywiście nie chodzi tu o iksmenów, ale o organizmy żywe bardzo różne genetycznie od swoich poprzedników, które potrafiły o wiele lepiej „wziąć sprawy w swoje ręce”, niż ich rodzice. Oczywiście, można powiedzieć, że to też pewien wariant darwinizmu, ale choć

omówimy pewne konsekwencje tej teorii, to powiemy i o innych teoriach... które ukształtowały nie tylko człowieka.

Wiem... zabrzmiałoby to jak jedna wielka niewiadoma, budowana na jednej wielkiej niewiadomej i dziś wolimy „wierzyć”, że człowiek i szympanś mieli wspólnych przodków. Tak jednak najprawdopodobniej nie było i człowiek pochodzi bezpośrednio od szympanśa, na co znaleźć dziś można dowody. To, co najważniejsze, to fakt, że to właśnie szympanśy, jako pierwsze naczelne opracowali mechanizm wojen. Tych, które znamy do dziś i mechanizm ten jest unikalny, gdyż tylko ludzie i tylko szympanśy prowadzą wojny w tak unikalny sposób. Tylko u szympanśów po raz pierwszy pojawia się spójny, nadrzędny i celowy obraz tego mechanizmu z jednorodnym zamysłem. Identyfikacyjny z tym ludzkim. Jakoś ciężko mi sobie wyobrazić, iż kolejne pokolenia przodków szympanśów zapewniały przeżycie tylko młodym o lekko zmodyfikowanych białkach celem uzyskania takiego efektu. Podobnie zresztą zapewne setki kotów, zanim nauczyły się lądować na czterech łapach, tuż po urodzeniu zapewne robiły test swoim młodym wysyłając je na skarpę i testując, czy odpowiednie białko ukształtowało się wystarczająco dobrze, aby na te cztery łapy spaść. A co stało się z kotami, które miały te białka prawie dobrze skonstruowane? No cóż, prawie robi różnicę i to „prawie” zamieniło się niestety w zgon, a więc nie zdołały przekazać swojego wybitnego dorobku przyszłym pokoleniom celem dokończenia dzieła... No chyba że ówczesne koty rozumiały, iż trzeba pójść na ustępstwa i rozłożyły projekt na kolejne etapy. W pierwszym testowały umiejętność

spadania na jedną łapę, w drugim na dwie... i tak dalej... i tak dalej...

Odpowiedź oczywiście jest. Jeszcze w tym rozdziale.

Odpowiedź jednak nie jest tak do końca prosta, jakby chcieli tego naukowcy.

Omówimy rozróżnienie na analogowy i zdigitalizowany sposób myślenia

człowieka, gdyż oba te sposoby mają swoje silne i słabe strony. Poniekąd

obecna forma darwinizmu, choć oczywiście prosta, syntetyczna i jako taka

bardzo estetyczna, jest pewnym pomysłem na pojmowanie rzeczywistości, a

każdy pomysł ma swój potencjał i żaden nie jest złotym środkiem. Darwin

założył, iż całe życie wzięło się z jednej komórki, która była protoplastą

całego życia i tylko w takim przypadku teoria ta ma sens. Skąd więc wzięła

się ta pierwsza komórka? Cedowanie odpowiedzialności na wszechświat i

twierdzenie, że (jest to teoria „pangenezy”) przybyła tu z innych planet nie

tłumaczy skąd wzięło się życie na tamtych planetach. Teoria Darwina jest

rzeczywiście bardzo dobrym przybliżeniem rzeczywistości, ale dziś

posiadając tyle narzędzi do obserwacji, również dostępnych amatorom

dostrzegamy, że „coś tu do końca nie halo”. Można owszem narysować sobie

na kartce komórkę i drzewo genealogiczne i rozbazgrolić się po bazylionach

elaboratów rysując coraz bardziej zmyślne diagramy, ale problem pozostaje

wciąż ten sam. Czy darwinizm jest rzeczywiście jedynym spojrzeniem na

ewolucję i czy czasem jedyną prawdziwą tezę ewolucjonizmu jest

obserwacja Wallace’a, iż „przeżyją najbardziej przystosowani”. Oczywiście

sam Wallace nie zdawał sobie sprawy, że wcześniej na te słowa wpadł

pewien wiktoriański wizjoner, który w ogóle ich nie rozumiał.

Aby unaocznić to, co chcę przekazać, posłużę się pewnym przykładem.

Założmy, że gdzieś tam, hen, hen daleko... jest planeta podobna do naszej. Mieszkańcy nazywają ją Planetą Nabullo, a że w całym wszechświecie oficjalnie obowiązującym językiem jest Język Polski, nie będę miał zapewne problemów z tłumaczeniem. Dawno, dawno temu pojawił się tam wielki wizjoner, któremu cała planeta zawdzięcza swą świetność, gdyż przebranzowił on tamtejszą gospodarkę na hodowlę zwierzyny kuropodobnej, zwanej tudzież w skrócie „kurą”. Utytułowany wszelkimi nagrodami o potężnym i najbardziej poważanym dorobku piśmienniczym, zmarł. Gdy jednak umierał powiedział krótkie słowa. Powiedział, że jeśli jest jajo, to jest też i kura, i tylko i wyłącznie kura. Jeśli zaś mamy do czynienia z kogutem, to to też jest niestety kura, tyle że na odwrót. Teoria ta stała się podstawą wszelkich rozważań i dociekań na Planecie Nabullo, a także ukształtowała tamtejszą etykę, oraz postawę moralną wszystkich młodych Nabulloniczan (którzy nazywają nas zresztą „Ziemniakami”). No może prawie wszystkich. Kiedyś, bliżej nam, Albert Einstein powiedział te oto słowa: „Wszyscy wiedzą, że coś jest niemożliwe, aż pojawia się taki ignorant, który o tym nie wie i udowadnia, iż to jednak jest możliwe”. Teza ta prawdziwa stała się również na Planecie Nabullo. Odwieczny i nierozwiązywalny paradoks, czyli „co było pierwsze, jajo czy kura”... temat dociekań tamtejszej nauki nad sumą wszystkich niemożliwości został niemal „zgwalcony” przez pewnego dyletanta na tamtejszym portalu społecznościowym www.fokoszop.pl (którego podstawą są łapki w dół). Dyletant ten bluźnierczo wręcz, niczym „tymczasowy brutalista” rozwiązał ten problem wymierzając policzek wszelkim najpoważniejszym

autorytetom. Uczynił to w słowach: „Co było pierwsze? Jajo czy kura? Jajo było przecież zawsze, a kura nie. Sama zaś kura jest tylko półproduktem ubocznym w produkcji jaj”.

Przykład ten pokazujący w pewnym ślupsticku spojrzenie z dystansu na to z jaką „zatwardziałością” podchodzimy do tez wydających się nam swoistą świętością może też być dobrym przykładem na to, że nie tylko nawet najlepszy pomysł ma ograniczony potencjał, ale też na to, że również sam wszechświat zawsze będzie potrzebował „świeżej krwi”, czyli nowego spojrzenia na jedną i tą samą, odwiecznie starą sprawę.

Choć nie jest to książka z biologii, to jednak temat przemian – natychmiastowego skoku z niebytu w stronę czegoś bardzo złożonego będzie w niej określony. O dziwo ma dla nas w tej pracy istotne znaczenie. Pytanie bowiem jak to się dzieje, że coś wybitnie złożonego pojawia się w rzeczywistości i istnieje tylko dlatego, że istnieje jako całość, a bez tej „całości”, czyli pewnej komplementarności w ogóle by nie istniało, nie może być odpowiedziane tak, że jeśli Dżon Kołolsky jest potentatem puddingu czekoladowego na cały świat, to firma jest liderem tylko dlatego, iż jej prezes i jedyny pracownik siedzi non-topper w Las Vegas i rżnie w ruletkę.

Wracając jednak do tematu.

Wspomnieliśmy o największej zdobyczy genetycznej szympanów. O mechanizmie wojen. Co jednak oznacza taki mechanizm wojen w przypadku szympanów? Oznacza on tylko tyle, że za każdym razem, gdy w populacji szympanów pojawia się osobnik inny, a często silniejszy, jest on eliminowany. Stąd ewolucja szympanów w kierunku człowieka jest

teoretycznie z tej perspektywy niemożliwa i same szympansy mają praktycznie te same geny od milionów lat. Podobnie zresztą muchy, czy ameby nie zmieniły się genetycznie przez co najmniej setki milionów lat, ale już z innych przyczyn.

Jest jednak pewien wyjątek i jest to teoria o supermutantach. Jeśli bowiem pojawił się w populacji osobnik z tak poważną i pozytywną zmianą w genotypie, że zdołał tą grupę zdominować pomimo walki (przypomnę - wojny) z całą populacją, to taki osobnik przedłużył swoją linię genetyczną, spłodził młode i był na tyle bardziej dostosowany do otoczenia, iż dał początek nowej linii... w tym przypadku pierwszych humanoidów, a humanoidem jest i człowiek.

Na przestrzeni dziejów było takich humanoidów wielu i najprawdopodobniej gatunki te mieszały się, ale o tym później, gdyż również nie jest to popularny pogląd. Sam człowiek pierwotny miał tę przewagę, iż rozumiał o wiele więcej i to najprawdopodobniej większa inteligencja spowodowała, że wydostaliśmy się „z pierwotnego gniazda”. Można to wywnioskować po tym, iż już od samego początku człowiek pierwotny rozumiał, że najlepiej jest się osadzać przy akwenach wodnych (co ukształtowało w nas rozumienie konieczności migracji), czy też zabiegać o to, żeby było, a nie o to, żeby nie było. Wiemy, iż jedne z pierwszych humanoidów żywiły się pierwotną formą cebuli i zapewne potrafiły zabiegać o to, aby ta cebula w brzuskach się pojawiała. Były do tego potrzebne pierwotne narzędzia i myśl, która dała nam przewagę nad szympanсами. Sam

szympans potrafi na przykład przygotować sobie patyczek, którym wyjada mrówki, co uznajemy już za jedno z pierwszych narzędzi.

Humanoidów było wiele, a sam homo-sapiens, gdy się pojawił, wcale nie był najsilniejszy, ani najbardziej inteligentny. Jakies 200 tys. lat temu coś się zmieniło. To bardzo znamienita zmiana, więc być może znów zaczę swoją manierą od końca.

Pewien eksperyment pokazuje do czego zdolne są szympansy. Kobieta w towarzystwie z szympansicą trzyma za plecami kolorowy plecak, który zwraca uwagę szympansicy. Szympansica jednak nie podejmuje prób jego natychmiastowej grabieży, ale bawi się z właścicielką plecaka. Kiedy obie są tak zaabsorbowane zabawą, że obie stają się rozkojarzone, szympansica odwraca uwagę właścicielki plecaka i ten plecak kradnie, a następnie ucieka z nim na drzewo. Niby nic, a jednak. Eksperyment ten udowadnia trzy rzeczy: szympansy mają wyobraźnię, szympansy potrafią planować, szympansy potrafią myśleć abstrakcyjnie. Człowiek pierwotny również miał wszystkie te zdobycze, z czasem zdobywając (również dzięki genom) poczucie zbiorowej moralności, co umożliwiło mu na przykład budowanie grup społecznych na zasadzie miast. Jednak dopiero człowiek rozumny, czyli homo sapiens, nie będący dominującym humanoidem, około 200 tys. lat temu posiadał zdobycz genetyczną pozwalającą mu opanować cały świat i wyprzeć wszelkie inne formy wspomnianych humanoidów. Choć mieliśmy jeszcze od czasów szympansów wyobraźnię, to jednak dopiero wtedy zdobyliśmy fantazję. Tak. Fantazję.

Czym jest owa fantazja? Dlaczego jest tak istotna? Każdy z nas potrafi sobie wyobrazić, iż wyobraźnia to po prostu umiejętność zwizualizowania sobie np. „kto, co, jak, gdzie, kiedy i dlaczego”. Też można mieć wiele, ale wyobraźnia to po prostu nic innego, jak umiejętność zwizualizowania sobie konkretnie... czegokolwiek! Czasem nawet w dość abstrakcyjnej formie. Dziś oczywiście wiemy, iż nawet szympansy to potrafią. Fantazja jest jednak czymś innym. Jest na przykład zmorą buddystów... że tak zażartuję. Dziką małpą, która biega nam po umyśle, w tę i z powrotem, nie pozwalając nam się skupić na medytacji. To jednak nie jest jej dobra definicja.

Fantazja to umiejętność reakcji wyobraźni na stany emocjonalne człowieka. Innymi słowy, jeśli coś w danym momencie czujemy, a to co czujemy wywołane jest po części nie tylko przez to, co czuliśmy wcześniej, ale także reakcją naszej wyobraźni na przeszłe uczucia, to terazniejszy stan emocji zbudowany na wcześniejszym doświadczaniu wspomnianych wrażeń – powoduje terazniejsze emocje i terazniejszą reakcję naszej wyobraźni na właśnie te emocje. Trochę to trudne, ale trzeba przez to chyba przebrnąć, aby zrozumieć „zdeczko” więcej. Ani szympansy, ani pierwotne humanoidy takiej umiejętności nie miały. Poniekąd to właśnie ta umiejętność pozwoliła nam stworzyć sztukę, pierwotne formy religii, a także wyspecjalizowaną broń, czy narzędzia. Potem zaś wytrzebić w pień wszystkich humanoidalnych konkurentów. To, co odróżnia nas np. od szympansa, czy pierwszych humanoidów to fakt, że „ni z gruchy, ni z pietruchy” nagle pojawia nam się w głowie jakaś fajowska koncepcja i pragniemy nią zarazić wszystko i wszystkich. Oczywiście oprócz tego, że aby wypromować tę ideę

wciąż musimy liczyć się z mechanizmami wojny wśród współplemieńców, odziedziczonymi jeszcze po szympansach. Ta jednak fantazja decyduje o tym, że rodzaj, powtórzę – rodzaj, a nie „gatunek ludzki”, nie jest już w żaden sposób zwierzęciem, choć genetycznie wywodzimy się od szympansów.

Jeśli przyjąć, że człowiek jest niby zwierzęciem, to równie dobrze moglibyśmy powiedzieć, że grzyby to rośliny, a wirusy to organizmy żywe. Choć życie na Ziemi wywodzi się z koacerwatów i całe życie kiedyś skupiało się na powstaniu pierwszej formy zbliżonej do komórki, to jednak nawet systematyka roślin i zwierząt jest inna, a sam człowiek nie dzieli się na rasy, jak zwierzęta (rośliny również nie dzielą się na rasy), a wśród nas występują tylko i wyłącznie grupy etniczne. Co w dalszej części rozwinę, gdyż jest po temu powód. Istotny zresztą z punktu widzenia naszych rozważań. Wkrótce okaże się to o wiele bardziej zrozumiałe.

No dobrze... w porządku... powiesz Czytelniku, który postanowiłeś tą książkę przeczytać. Książka jednak nosi tytuł taki, jaki nosi i w pierwszym rozdziale miałeś się dowiedzieć czym naprawdę jest nacjonalizm, a jak na razie rozważamy jakąś tajemną wiedzę o żółwiach, amebach, kotach, czy szympansach. Więc być może zanim przejdziemy do nietoperzy...

Jeszcze raz więc... Otóż mój drogi, moja droga... W dzisiejszym świecie łatwo jest, zwłaszcza gdy jest się kimś z potwierdzonym autorytetem, serwować światu górnolotne definicje pojęć na tyle abstrakcyjnych, iż każdy jakoś je czuje, a jednak nikt do końca nie potrafi zejść do tego wspólnego mianownika, który nadaje wszystkim tym definicjom kształtu. Owszem,

można na przykład biorąc na tapetę słowo „integracja” próbować je zdefiniować w wielostopniowej skali, napisać na ten temat elaborat i poddać pod dyskusję szerokiemu gremium naukowemu. Naukowcom, którzy nie tylko się myślą, ale także pragną dopuszczać do takiej naukowej dyskusji tylko tezy tych naukowców, którzy mylić chcą się tak samo, albo nawet bardziej. Ta praca ma być jednak inna. W tej pracy pokazując Ci drogi Czytelniku skąd wzięły się u nas pewne potrzeby, będę próbował przejść dalej i niestety mam nadzieję odjąć trochę kromek chleba od obrzydliwie przejezdzonej nauki korporacyjnej tego świata. W tej pracy przejdę dalej w kierunku języka abstrakcji, umożliwiającą nam definiowanie pojęć, nie zmaconych manierą pisania dla akceptacji wąskiego gremium naukowego.

Już teraz pojawia się pierwszy wniosek. Cecha, którą odziedziczyliśmy po szympankach, czyli mechanizm wojen, umożliwiający nam tępienie wszystkiego tego, co od nas obce, jest cechą, do której jakoś każdy przyznałby się ze wstydem, albo nie chciał się do niej przyznać wcale. Jednak właśnie ta cecha była najważniejszą cechą kształtującą naszą przeszłość, naszą historię jako człowieka. Sam nacjonalizm jednak z drugiej strony, jako zbiorowa ksenofobia konieczna w mechanizmie wojen, choć z jednej strony mógłby być wywyższony jako źródło wszelkiej ciągłości historycznej, to z drugiej strony może być też uważany za przyczynę wszelkich naszych dzisiejszych problemów. Problemów wynikłych z tego, iż wciąż traktując się jak zwierzęta, wracamy do bycia tymi zwierzętami, chociaż jako homo sapiens, czyli z nazwy „człowiek rozumny” już tymi zwierzętami nie jesteśmy. Nie jesteśmy tak naprawdę od momentu

ukształtowania się w przestrzeni naszej świadomości tak naiwnej wartości, jaką jest fantazja.

Tak więc takie rozważania o amebach, szympansach, kotach i żółwiach, a być może nawet i nietoperzach w tej książce są paliwem do kreowania takich i podobnych wniosków, których nie da się sformułować bez wcześniejszego wprowadzenia. Problem jednak pozostaje – czym naprawdę jest ten nacjonalizm?

Zapewne domyślasz się Czytelniku, że i tu posłużę się pewnym tłem pojęciowym. Również w tym przypadku będzie ono wywodzić się z biologii. Dzięki temu tłu przejdziemy dalej, bo choć koszula bliższa ciału, to ryba jednak psuje się od głowy, a więc aby nie potraktować problemu po łebkach, trzeba umotywować go zejściem na optymalnie niski poziom języka abstrakcji. Musimy zejść do źródła, wrócić do korzeni i odnaleźć wspólny mianownik, budując stabilną konstrukcję myślową na solidnym piedestale.

Jak to mówił klasyk: „Grunt to Ziemia!”, chociaż inny klasyk w dyskurs powtarzał „Fizycy, zejźcie na Ziemię. Tą Ziemię... choć są na właśnie tej Ziemi i na tym Niebie rzeczy, które się fizjonomom nie śniły”.

Wszystko, o czym tu piszemy, jest istotne z punktu widzenia naszych dalszych rozważań i wszystko o czym tu mówimy prowadzi do pewnego spójnego obrazu. Ważne, aby ten właśnie obraz zaistniał w przestrzeni publicznej i został poddany dyskusji, gdyż obraz ten odpowiada na palące potrzeby określenia się Polaków i Polski nie tylko w stosunku do naszego upodmiotowienia, ale i poszanowania tego, czego z powodu nieznamości nie rozumiemy. Nie tylko zresztą My.

Zacznijmy najprościej jak się da. Tym razem od początku, czyli „Auf Buten machen”. Zdaje się, że w XVI wieku (wujek, który studiował na Akademii Rolniczej miał kupę książek, między innymi z Biologii, ale dziś już ich nie ma, więc nie dojdę i właściwego wieku i nawet nazwiska kogoś, kogo dzieło będę opisywał) pewien angielski Lord i wizjoner wpadł na genialny pomysł. Oczywiście nauka korporacyjna wtedy nie istniała, a więc tytułem wstępu... Nauka owych czasów wyglądała tak, że jak był statek i ludzie w długich wyprawach zaczęli cierpieć na choroby związane z niedoborem witaminy C (wypadanie zębów na przykład, a potem na przykład zgon), to pojawiał się ktoś, kto zabierał w podróż 12 „ochotników”. Dwóm serwował ocet, dwóm ich własną urynę... itd. itp., a dziwnym zbiegiem okoliczności, żeby nie było zbyt brutalnie dwóm dla dowcipu dawał owoce cytrusowe. Nie wiedzieć czemu tych właśnie dwóch przeżywało i powstawał jakiś konkretny raport na ten temat. Nie była to więc z całą pewnością nauka korporacyjna, do jakiej dziś zwykliśmy, a jako taka miała wiele plusów (oprócz oczywiście prób mieszania nauki z tezami kabalistycznymi). Jednym z takich plusów była możliwość zajścia takiego „zdarzenia”, iż w Europie swego czasu zapanowała gigantyczna pandemia. Umierali praktycznie wszyscy, jednak wiadomo było, iż oprócz ludzi, na tą chorobę chorują również świnie. Pewien człowiek postanowił więc celem znalezienia lekarstwa na tą chorobę obserwować właśnie te świnie... Była to oczywiście trafna decyzja. Kiedy bowiem zaobserwował pierwsze objawy choroby u pewnej świni, nie wiedzieć czemu ta się wściekła, wyleciała z chlewu jak z procy i podbiegła do pobliskich krzaków, po czym zżarła pewną roślinę, a następnie

wyzdrowiała. Fakt autentyczny! Nie zalewam! Lekarstwo było właśnie w tej roślinie, a człowiek ten uratował Europę przed tą pandemią. Dziś nauka korporacyjna nie zajmuje się „studium przypadku” i żeby uznać taki dowód za wiarygodny w środowisku naukowym, należałoby pozyskać dane od co najmniej tysiąca świń, które tak samo po zachorowaniu wściekły się, wyskoczyły z chlewu, zżarły jedną roślinę i wyzdrowiały. To jednak też niestety nie byłby wystarczający dowód, gdyż aby zyskać poparcie szerokiego gremium naukowego, dowód ten musiałby być przeprowadzony niezależnie przez wiele środowisk naukowych i praca na ten temat nie musiałaby tylko spełniać restrykcyjnych wymagań w Unii Europejskiej, ale także zostać poddana szerokiej dyskusji na całym świecie. Zakładając, że w czasie, gdy kolejna połowa Europy by już wymarła, naukowcy niestety ostatecznie uznaliby, że taki środek zaradczy nie jest profesjonalnym sposobem załatwiania tego typu problemów, a więc to lekarstwo jest lekarstwem placebo, niestety uniemożliwiającym prawdziwe dociekania światowej nauki i jego ewentualne stosowanie stoi w sprzeczności... no taki sobie naukowy bełkot, który można wyczytać praktycznie wszędzie.

Wymagań nie było wiele i tenże właśnie angielski Lord z XVI wieku, bo jego historia jest tu najważniejsza, wpadł na rozwiązanie, którego owoce do dziś konsumujemy. No może nie dosłownie, gdyż kto by jadł np. „południcę z rumaka”? Tenże angielski Lord wpadł na genialny pomysł, iż weźmie to łyse, szczerbate i garbate coś, co biega po polu i nazywamy to „kuń”, a kuń jaki jest każdy widzi - to weźmie to i zamieni w rumaka wyścigowego. Śmieszne? Nie, jeśli się wie, jak to zrobić. Nie jeśli dzięki tej prostej w sumie koncepcji,

której do dziś nauka nie potrafi wytłumaczyć, a więc się nią nie zajmuje... te rumaki są jedną z najlepszych inwestycji finansowych ludzi obrzydliwie bogatych w obrzydliwie głębokich, skórzanych fotelach. Pomysł ten jest jeszcze większą kontrą do darwinizmu, niż teoria o supermutantach.

Koncepcja jest prosta i zweryfikowała ją rzeczywistość. Wizjoner ten po prostu zastosował naprzemiennie krzyżowanie bliskospokrewnione (inbred) z krzyżowaniem dalekospokrewnionym (outbred). Coś, co dziś moglibyśmy nazwać „pompą genetyczną inbred-outbred-inbred” (w dalszej części nazywać ją będziemy pompą genetyczną pierwszego rodzaju). Najprościej to ujmując nie stosował on naprzemiennie kazirodu i hybrydyzacji międzygatunkowej (jest to pompa genetyczna drugiego rodzaju), ale powiedzmy, że jeśli koń miał jakiegoś bardzo bliskiego kuzyna (albo kuzynkę), to najpierw angielski Lord doprowadzał do zapłodnienia w takim układzie, a gdy pojawiały się źrebięta, po osiągnięciu przez nie wieku dorosłego, doprowadzał do skojarzenia ich z trochę dalszymi kuzynami... i tak „w koło Macieja”. Do dziś nie wiemy dlaczego, ale praktycznie, niemal za każdym razem efekt genetyczny się w takim układzie ustawicznie poprawia. Dlaczego to istotne? Zaraz się o tym przekonamy. Powiem tylko, że dzięki zasadzie kazirodu-hybrydyzacja-kazirodu (kazirodu musi być zawsze w tym układzie pierwsze) można krzyżować ze sobą również różne gatunki, eliminując tym samym możliwość ich najczęściej przynajmniej częściowej bezpłodności i uzyskując coraz to lepsze wyniki genetyczne. W dzisiejszym świecie, z powodu ingerencji człowieka, której to ingerencji nie jesteśmy w stanie wyeliminować, wszelkie gatunki skazane są

na coraz to szybsze wymarcie, a sam wiek XX był erą największego wymierania gatunków w historii całej Ziemi. Hybrydy wykazują się o wiele większym wigorem i sprawnością i jako takie są w stanie zapewnić przetrwanie ekosystemu, od którego jesteśmy jako ludzie zależni. Niezależnie od tego, co się stanie, wymierania gatunków nie można powstrzymać, jeśli nie odważymy się na konsensus i nie zapewnimy łączenia się gatunków w hybrydy, tym samym umożliwiając przetrwanie dzisiejszych genów. Czy jest to sprzeczne z Naturą. Nie, co zaraz pokażę.

Również dziś toczy się odwieczna debata, o której za wszelką cenę chcieliby zapomnieć eugeniczy, czyli zwolennicy tez o rzekomo naukowo umotywowanym rasizmie. Czy dzisiejszy kształt genów człowieka zawdzięczamy również mieszaniu się genów pierwotnych form ludzkich, pierwotnych humanoidów. Argument według niektórych jest niby niepodważalny – mieliśmy różne gabaryty, i jeśli jedni byli mniejsi, a drudzy więksi, a większy i silniejszy gwałcił w wyprawie wojennej słabszą i mniejszą to kicha. Teraz jeśli ta mniejsza, również o mniejszej miednicy miała urodzić dziecko, to te podczas porodu nie przeszłoby przez miednicę i poród ten zakończyłby się zgonem. Rzekomo o ile doszłoby do zapłodnienia, to niby i tak dziecko byłoby bezpłodne (choć przed chwilą ten właśnie argument został omówiony jako nieprawdziwy pod pewnymi wyjątkami). Tak wyglądają niestety tezy eugeników. Na szczęście jest to kompletna bzdura.

Dziś wiemy na przykład to, iż wzrost skorelowany jest z płcią. Oznacza to na przykład, iż hybryda samca lwa z samicą tygrysią, tzw. lygrys jest kotem

gigantycznym, około dwóch razy większym od lwa, czy tygrysa i o ile lew zżera dziennie 5-7 kg mięsa, to sam tygrys zżera ich 15-20 kg. Hybryda zaś samca tygrysa i samicy lwicy, zwana jest tigonem i jest to karzeł. Sugerowanie jakiegokolwiek więc argumentu, że dziecko takiej i takiej formy człowieka nie mogłoby się narodzić z powodu rozmiarów jest więc naukowym absurdem, gdyż aby wiedzieć jakich rozmiarów jest dziecko różnych od siebie humanoidów, musielibyśmy to sprawdzić eksperymentalnie. Takiej możliwości jednak na dzień dzisiejszy nie mamy, a wiemy tylko tyle, iż wzrost skorelowany jest z płcią.

Mając też do czynienia z płodzeniem dzieci, które są hybrydami międzygatunkowymi, ale ich rodzice są owocem kazirodu... jeszcze raz to powtórzę, dzieci nie tylko są płodne, nie tylko wykazują się o wiele lepszymi warunkami genetycznymi, ale też jeśli te dokładnie dzieci już jako dojrzały ludzie spłodzą dzieci, które również będą owocem kazirodu – również ich dzieci będą miały wyniki genetyczne lepsze od rodziców. Dopiero następne pokolenie kazirodu będzie obarczone problemami z tego powodu, gdyż powinno być bardziej pokoleniem outbredowym. Takie jednak zjawisko występuje w przypadku hybrydyzacji, a sam inbred choć uaktywnia, na dłuższą metę cechuje się ogromnymi problemami i musi zostać uzupełniony przez outbred, który eliminuje błędy i w swoisty sposób „poszerza horyzonty genetyczne”. Z czasem jednak, a wiem to po hodowli gołębi ozdobnych, oraz krzyżowaniu rybek – mieczyka z molinezją, pojawia się problem określenia się „formy jednorodnej”. Również pompa genetyczna ma swój ograniczony potencjał. Zawsze dochodzi bowiem do momentu, gdy

krzyżówka którą otrzymamy może wykazywać się dużą inwazyjnością, czy sama z siebie stanowić zagrożenie, również dla siebie, nawet przez swoją bierność, czy będąc bardzo genetycznie nieokreśloną. Choć sama ta krzyżówka może być owocem wielu hybrydyzacji, to dopiero konkretne posunięcie i konkretna decyzja jest w stanie uczynić nowy gatunek i jako taki musimy pozostawić go samemu sobie w Naturze, gdyż proces ten nie może być prowadzony w nieskończoność. Hybrydyzacja nie jest więc celem samym w sobie i sztuką dla sztuki, ale sposobem na uzyskanie nowych gatunków, zdolnych do „bardziejszego” przystosowania. To bardzo istotne, gdyż krzyżowanie pszczoły afrykańskiej z europejską okazało się tragedią – pszczoły uciekły, okazały się najbardziej inwazyjnymi i agresywnymi pszczołami świata i dziś nauka jest wobec tego faktu bezradna.

Uważam, iż jedynym sposobem w tej sytuacji jest wykrzyżowanie tej właśnie pszczoły (zwłaszcza tych, które żyły na pewnej małej przestrzeni pewnych wysp i okazały się, z powodu inbrodu zapewne, mniej agresywne) ... wykrzyżowanie tej pszczoły z pszczołą indyjską *Apis Cerana Indica*. Po to, aby ostateczna superpszczoła była zdolna wyprzeć poprzednią i okazać się o wiele bardziej pożyteczna i w ogóle nieszkodliwa dla człowieka. Sugeruję się jednak w tej sprawie tylko moją intuicją.

Po prostu hybrydyzacja ma ten jeden ważny aspekt, iż można ją przeprowadzić praktycznie we wszystkich kierunkach. Warunkiem jest jednak to, aby wiedzieć kiedy uzyskało się formę jednorodną, zdolną to współistnienia w Naturze, gdyż formy pośrednie dla samej Natury są niestety albo niebezpieczne, albo też są w niej skazane na porażkę. Nadmienię na

koniec, że na przykład u dużych kotów, lwów, panter, czy tygrysów nie można przeprowadzić jakiegokolwiek formy sztucznego zapłodnienia. Stąd wydaje się, że sama hybrydyzacja dużych kotów, która umożliwiłaby wyeliminowanie plagi świń i królików z Australii może nie być aż tak łatwa. Duże koty muszą się w sobie autentycznie zakochać, aby spłodzić młode, a ich hybrydy najczęściej u samców wykazują się azoospermią, czyli samce są raczej niepłodne. Poniekąd, jeśli mi można coś zasugerować, gdyż np. populacja lwów azjatyckich jest praktycznie na absolutnym wymarciu – spróbowałbym napromieniować parę dużych kotów dawką promieniowania w mechanizmie zbliżonym do radioterapii u ludzi, gdzie u nas robi się to celem usunięcia nowotworów. Z moich obserwacji wynika, iż wygląd ludzi zmienia się po radioterapii i ich skóra nabiera takiego ziemistego koloru, co wrażeniem przypomina mi sposób, w jaki ciało zakochanych kotów reaguje na własne hormony. Sam problem świń australijskich nie jest taki oczywisty. Kiedy próbowano je wyeliminować z Australii szerząc wśród nich choroby – okazało się, że świnię te mają wręcz doskonale ukształtowany układ odpornościowy i szybko wyzdrowiały. Proszę to zestawić z możliwością hybrydyzacji i faktem, iż w Europie każda świnia praktycznie co tydzień dostaje wiadro antybiotyków i hormonów...

Choć wprowadziłem Cię drogi Czytelniku w temat, to być może ktoś zapyta, jak to jednak wciąż jest możliwe, według autora, że różne gatunki ludzi się mieszały, dając płodne potomstwo. Do tego potrzebne jest tylko to, że jeśli np. jedna grupa jaskiniowców, żyjąc w wąskim gronie i wydając w tym gronie potomstwo nie uniknęła powielonego najczęściej kazirodztwa,

napadła na drugą grupę żyjącą według tej samej zasady, ale w obrębie np. innego gatunku, to zaszedł warunek pompy genetycznej drugiego rodzaju, czyli kazirodustwo-hybydyzacja-kazirodustwo i wyniki genetyczne znamienicie się poprawiły. Wyprawy wojenne były i są do dziś niestety najbardziej dochodowym interesem, a z punktu widzenia Natury, takie właśnie wyprawy wojenne i gwałcenie kobiet, również innych gatunków humanoidów, zapewniło pełną dywersyfikację genotypu, a więc znamienne poprawę warunków genetycznych co kilka pokoleń. Można mówić „afee”, jednak jeśli człowiek pierwotny jakiegokolwiek formy humanoidalnej nie ruszał na wojnę i nie gwałcił kobiet, to samo życie w jaskini wąskich grup społecznych doprowadziłoby do tak dużego uwstecznienia genów przez incest, czyli kazirodustwo, iż cała ludzkość wymarłaby w ciągu kilkuset lat.

Znaczącym był tu fakt, że człowiek już wtedy żyjąc na prawie całej planecie był różny genetycznie od siebie nawzajem w różnych regionach. Jeśli podróż na 2-5 tys. kilometrów, albo i więcej graniczyła wtedy z niemożliwością – oznacza to, że na tak dużych, albo większych dystansach pojawiały się na podobnych zasadach różne formy humanoidów, zbliżonych do siebie, ale ze ścieżką ewolucyjną idącą w innym kierunku. Oznacza to też, że w krótkim odstępie czasu trudno mówić tu o przenikaniu się tych gatunków, jednak w dłuższym odstępie czasu gatunki te przenikać się musiały, tworząc nowe formy, czasem o wiele bardziej dominujące.

Przypomnijmy, że człowiek pierwotny nie miał roweru, helikoptera, samochodu, czy połączenia Wi-Fi z Internetem, aby randkować i spamować portale społecznościowe wychwalaniem kotleta, który przedwczoraj

ugotował idąc na siłownię. Dziś niektórzy zamienili maczugę na maczetę, a chabetę na zastrzyk sterydów i durnowate tatuaże. No cóż... flety mają dziś swój Renesans! Jednak kiedyś, naprawdę kiedyś było inaczej. Natura będąc zawsze mądrzejszą od człowieka zdecydowała za nas i postanowiła, że zamykanie się wyłącznie w wąskim gronie rodzinnym oznaczałoby wielopokoleniowe wymieranie przez nadmiar tendencji kazirodzczych, choć i nadmiar inbredu byłby jednoznaczny z kazirodztwem, czy powielonym kazirodztwem.

Człowiek jednak poczuł w jakiś sposób potrzebę lepszej organizacji dla lepszego przetrwania i znamienitym tu było pojawienie się tak znaczącej zdobyczy genetycznej, jaką jest poczucie moralności zbiorowej, co umożliwiło powstanie pierwszych struktur większych zbiorowości. Broniących się wspólnie, atakujących wspólnie, utrzymujących się, bawiących się wspólnie... Była to zdobycz na tyle istotna, iż z perspektywy ewolucjonizmu (i tu widać, że są inne formy poprawy warunków genetycznych, jak pompa genetyczna – darwinizm nie jest więc jedynym wytłumaczeniem) przeżywali właśnie Ci najbardziej przystosowani, co przyspieszyło nasz rozwój. Oznaczało to też fakt, iż człowiek zaczął tworzyć struktury organizacyjne umożliwiające zamknięcie się w grupie etnicznej, najczęściej związanej z danym terenem. Zwłaszcza w odległej przeszłości. Również tu, jeśli dana grupa etniczna tworzyła wyizolowane społeczeństwo, a więc powodowała pogłębianie się inbredu, bo nawet w takiej jednostce organizacyjnej żywot grupki ludzi ograniczał się do terenu o promieniu co najwyżej kilku kilometrów, to z różnych przyczyn, czy to konfliktów

zbrojnych, czy nawet zwykłej migracji, cała ta grupa etniczna idąc w pewnym kierunku myśli ludzkiej, zasilana była motorem pompy genetycznej.

Jak? Z jednej strony aktywizacją przez inbred, a z drugiej dywersyfikacją genetyczną przez outbred. Bez tego żadna grupa ludzka nie byłaby w stanie przeżyć i do dziś nasze spojrzenie na to co „obce” ma dwa oblicza. Akceptujemy tylko tych, którzy ze względów poselstwa Natury są dla nas z niewiadomych przyczyn atrakcyjni, a nie jesteśmy w stanie zaakceptować tych, co do których nie wiemy czemu mamy same nieuzasadnione wątpliwości. Funkcjonujemy jako po części zamknięte grupy etniczne, z wewnętrznym kodeksem zasad i choć wielu z nas marzy się lepszy świat, gdzie wszystkie granice zostaną otwarte, to jednak świat w dzisiejszym kształcie nie jest na to gotów (opiszę, kiedy będzie).

Jeśli w społeczeństwach biednych, gdzie rodziny mają dla siebie tylko kromkę chleba i kubek wody, to od zawsze tendencją tam jest to, że za dnia ciężko pracują, a w nocy dzieci robią. Takie społeczeństwa nie mają problemu z niżem demograficznym. W społeczeństwach bogatych ludzie robią wszystko, aby nie pracować, mają dużo, a w ogóle nie myślą o robieniu dzieci. Chcą rozwijać siebie i swoją karierę i to najlepiej jako kawalerowie i panny, bo przecież rodzina to niby obciążenie. Każde społeczeństwo rozwinięte kiedyś spotkało się z tym właśnie problemem i prowadząc politykę imigracyjną, osiągało rezultaty lepsze, a czasem jeszcze lepsze.

Problem tkwi jednak w tym, że prowadzenie polityki imigracyjnej skupionej z jednej strony na próbie zacierania różnic (jestem zwolennikiem hasła „Siła

jedności w różnorodności”), a z drugiej prowadzenie nieodpowiedzialnej polityki imigracyjnej czasem bardzo źle się kończy. Oparcie w przypadku Polski tej właśnie polityki na naszych najbliższych sąsiadach, czyli Ukrainie, bo są praktycznie tacy sami jak my, niczego za bardzo nie zmienia. Odejdą stąd niedługo na Zachód. Adresowanie się do repatriantów, którzy gdzieś tam hen, hen, daleko są i jakieś sto lat temu byli Polakami to też margines potrzeb jakie mamy. Polska dziś musi podjąć odważną decyzję (podzielają to zdanie niektórzy eksperci, komentując to w mediach), aby nie być krajem 40 mln, ale 70 mln obywateli. W związku z tym trzeba stworzyć to właśnie Międzymorze (Intermarie), skupione głównie na krajach Centralnej Europy. Nie chodzi jedynie o dywersyfikację genetyczną, czy o przejęcie kontroli w układzie, który oferuje nam hegemonia niemiecka, ale też jest to jedyny sposób na to, aby Rzeczpospolita Polska będąc dziś czymś lekko więcej, niż lokalnym mocarstwem, idąc za ciosem ustanowiła tutaj blok gospodarczy, będący zaporą dla zawirowań w polityce USA, Rosji i Chin. Jeśli nie wiedzieć czemu nie wolno nam wydobywać naszych, jednych z najbogatszych złóż, a opublikowane na ten temat mapki znikają z Internetu... gdy samego tytanu mamy więcej niż Rosjanie, to przynajmniej pozwólmy sobie być krajem, którego potencjałem są ludzie. Młodzi ludzie, którzy tu dziś mieszkają często niestety stąd uciekają. Kraje, które zrozumiały, iż powinny przybrać taki ekspansywny kurs, wydają się wielu z nas o wiele bardziej „normalne”, niż rodzima macierz. A coś w tej Ziemi przecież jest!

Pozwoliłem sobie na chwilę dygresji, bo przecież nie jest to podręcznik z biologii. Wiemy to, prawie wszyscy i czujemy to, bo widzimy jak to wygląda w innych krajach. Krew raz na jakiś czas mieszać trzeba, a żyjemy w kraju, w którym wychodząc na ulicę widzimy tylko i wyłącznie tę „Królową Śnieżkę”, a biało jest tu tak, jak u Michała Anioła pod pachami. To ten sam kraj, gdzie jak trzeba wykopać dół szpadlem, potrzeba do tego specja od P.R., głównego księgowego, boksera, elektryka i kierowcę ciężarówki. Oczywiście nikt za bardzo nie wie jak to zrobić, a więc wszyscy albo idą na fajkę, albo na grilla, albo udają że coś robią rysując rysunek techniczny dotyczący tego, że wczoraj na hali żarówka się spaliła. Student z tym wszystkim zostaje sam i ostatecznie dziecięcymi grabkami to zrobi, bo mimo iż skończył 10 fakultetów i zna pięć języków, to jednak robi na śmieciówce i zarabia na możliwość wzięcia kredytu we frankach. Tak właśnie wygląda ta jedna wielka „Królowa Śnieżka”, czyli ogólnie jeden wielki... pic na wodę, fotomontaż! Różnimy się genetycznie pomiędzy różnymi grupami etnicznymi i inne spojrzenie, nawet ze względów różnic kulturowych, nawet w miejscu pracy jest czymś, co zwiększa efektywność i daje nowe perspektywy.

Owszem. Nie wszystkie kraje, w których widać zarysowaną politykę obrzydliwie nazwaną przez dzisiejszych neonazistów „multi-kulti” to kraje wysokorozwinięte. Brazylia na przykład ma pewien problem, a na przykład kraj taki jak Japonia, gdzie od zawsze bardziej panują nastroje jeśli nie izolacjonistyczne, to nacjonalistyczne, jest krajem wysokorozwiniętym. Owszem, choć przyczyn takich wyjątków jest wiele. Sama Japonia nigdy

jednak nie osiągnęłaby swojego dzisiejszego stanu, jeśli tamtejszy Cesarz nie zdecydowałby swego czasu o amerykanizacji tego kraju. Co ciekawe Brazylia, jako kraj katolicki nie ma problemu nacjonalizmu, gdyż tam obcym nie był ten, kto był „innego koloru skóry”, ale innego wyznania. USA dla odróżnienia, jako kraj w podstawach zasiedlony przez protestantów w większości podchodził do tej sprawy w sposób odwrotny. Obcym był nie ten innego wyznania, ale ten kto jest „innego koloru skóry”. W Brazylii problem wziął się z pierwotnie ugruntowanego stereotypu, że człowiek wielce bogaty, to człowiek lepszy. To pogłębiło różnice społeczne i zaowocowało dzisiejszymi problemami Brazylii. W USA model „od zera do milionera” sięga natomiast jeszcze czasów początków USA. Tam model protestancki zakładał po prostu, że co by się nie działo, może się walić i palić, ale pieniądze do skarpety odłożyć trzeba.

To jednak dygresja, która jest istotna z punktu promowania przez niektóre media idei, iż Polska jest krajem rasistów. Sam „rasizm po polsku” wygląda tak, że szef skin-headów z mojej miejscowości chodzi po ulicach i słucha Fifty-Centa. Z czym się zresztą nie kryje. Polakom nie będzie jednak prosto drodze zaakceptować imigracji, która wprowadziłaby religie inne, niż te chrześcijańskie, a zwłaszcza islam. Niedawno więc rząd... tak, ten rząd Prawa i Sprawiedliwości na sugestię Kościoła Rzymskokatolickiego w Polsce postanowił przyjąć do Polski imigrantów z Filipin. Na świecie jest ponad 200 mln prześladowanych Chrześcijan i nie ma się co oszukiwać. Jeśli nikt im realnie nie pomoże dając dach nad głową, pozostaną to ludzie spisani na

straty i z bronią przyłożoną do skroni, wciąż deklarując swą religię, niestety zginą.

Niektóre postawy polityków, a zwłaszcza te, które docierają do naszego społeczeństwa z komentarzami tabloidalnych mediów są jednak wciąż żenujące. W polskiej polityce albo panuje spór plemienny pomiędzy partią człowieka, który dostał z Niemiec na meble do biura poselskiego i dzięki temu stworzył jedną z największych „partii wykształciuchów”, że nie powiem gorzej... z plemieniem człowieka, który obsadza na najwyższych stanowiskach bibliotekarzy, farmaceutów, czy też innych ludzi o takich kompetencjach, iż nawet tą resztkę biznesu, nie przejętą przez hegemonię niemiecką doprowadzają do ruiny. Co zaś się tyczy tych pierwszych – dla nich Polska istnieje tylko na papierze i nie tylko sprzedaliby za bezcen ostatnią flagę i zanieśli uroczyście kasę do galerii handlowej, aby kupić sobie lepszy zegarek, ale też politykę, a więc sposób sprawowania władzy traktują tak, jakbyśmy my wszyscy, społeczeństwo Polski, przeszkadzali reszcie świata. Ci mniej kompetentni przynajmniej się starają, a więc o wiele więcej im wychodzi. Co pozostaje? Egzotyka polityczna, która jest na tyle populistyczna, że partia uchodząca za śmietankę ekonomistów nie potrafi dodać słupków na kartce, a partia ludzi wyluzowanych ma jedno osiągnięcie. Wprowadzenie najbardziej brutalnej mowy nienawiści w parlamencie. Kto to wszystko nam zgotował? Wydaje mi się, że to nie jest słuszne pytanie. Słusznym pytaniem jest to, dlaczego wciąż na to się nabieramy i co w związku z tym? O tym i o trochę podobnym nieco później.

A więc jak to jest, że jak tą krew wymieszamy, to jest lepiej?

Mechanizm ten jest dość prosty. Nazywa się synergią. Oczywiście wiemy, że np. Mulaci są w jakiś sposób najczęściej uprzywilejowani wobec Murzynów, czy Kaukazów, na przykład nas Polaków (jesteśmy narodem jednolitym etnicznie i homogenicznym kulturowo). Nawet w najbardziej bzdurnych pijackich konfabulacjach przy grillu, raz na jakiś czas pojawia się wątek, często nawet nie wśród młodych ludzi, ale też starszych, że jednak chciałoby się tej Murzynki. Jeśli jednak miałyby być muzułmanką, to jest to wykluczone. Potrafimy znaleźć każde absurdalne uzasadnienie dla tej rzeczywistej tendencji, ale jednak, mimo wszystko mieszkańca Europy Centralnej ciągnie do Afroamerykanów. Azjatów ciągnie do Latynosów, Żydów do Indian, a Skandynawów do mieszkańców Oceanii, czyli głównie rdzennych mieszkańców Australii i Nowej Zelandii. Rosjanie są tu wyjątkiem, gdyż najbardziej ciągnie ich do Brazylijczyków. Jakoś zdajemy sobie sprawę, że oprócz tego, że tą krew trzeba jednak wymieszać, bo choć zdajemy się nie dostrzegać, iż w okolicy pojawia się coraz więcej chorób genetycznych, to jednak chcielibyśmy czegoś wyjątkowego, czegoś tylko dla nas. Chcielibyśmy racjonalnej polityki imigracyjnej państwa nastawionej na nasze unikalne potrzeby. Nie jesteśmy w tym oczywiście wyjątkami, gdyż podobnie myślą nasi „współplemieńcy”, a część z nich wyraża to na przykład w sztuce.

Większość rodziców ma to do siebie, przynajmniej w naszym kręgu kulturowym, iż chciałaby, aby ich dzieci prezentowały sobą więcej, niż oboje rodziców razem wzięci. Takie $2+2>4$ jest oczywiście możliwe, ale nie dla wielkości ilościowych, ale dla wielkości jakościowych. Oprócz tego, że

wymieszanie krwi najczęściej daje bardzo pozytywne rezultaty, to jednak zawsze należy pamiętać, iż są połączenia „preferowane”, co wytłumaczę na przykładzie chemii i farmacji.

Naukowiec konstruuje cząsteczkę, która ma być lekiem, zdaje sobie sprawę z jej potencjału. Zawsze jednak próbuje poddać ją wielowariantowej modyfikacji i choć wiele prób kończy się niepowodzeniem, dochodzi w końcu do wniosku, że podmienienie jednej zwykłej grupy -H na grupę -OH daje np. 57% wzrostu pożądanego przez tego naukowca efektu. Choć dodał mało, gdyż tylko jedną cząsteczkę, ale we właściwym miejscu, to jednak uzyskał efekt o wiele większy i ważniejszy, niż koszt dodania jednego atomu w masowej produkcji tej cząsteczki. Powstaje z tego lek. Lek ten, stworzony przez chemika zyskał załóżmy olbrzymią aprobatę, jednak korporacje farmaceutyczne zdecydowały, że najlepiej, jeśli nie będą go sprzedawać jako leku na receptę. Byłoby to możliwe tylko i wyłącznie przez drastyczne zmniejszenie dawki. Takie jednak zmniejszenie dawki, która spowodowałaby utracenie wszelkich ważnych właściwości tego leku. Korporacje jednak nie ustały i przeprowadziły badania, w których konkurowały. Kilka kolejnych korporacji, niezależnie od siebie, dodały do tego samego leku inny lek, choć prawie wszystkie dodały ten sam dodatkowy składnik. Uzyskały tym samym na tyle lepszy efekt, że lek bez recepty okazał się o wiele skuteczniejszy od leku na receptę. Jedna z korporacji się „wybiła” i dodała jednak inny składnik, inny dodatkowy lek, tym samym osiągając podwójnie lepszy efekt od całej reszty konkurencji. Nie tylko nie jest to fikcja, ale tak wygląda od czasu do czasu prawdziwa

farmacja. Wtedy kiedy nie skupia się tylko i wyłącznie na robieniu ludzi w bambuko i nabijaniu kabzy - Jak Pan mówi? „Pa... pa... pa... Pavulon Ultra Forte Max z podwójną formułą brylantowych końcówek koniczyny od Cinquecento?? Muszę kupić mojej teściowej, bo już coś ją łupie. Szkoda, żeby kobita się męczyła”.

Jako Fizyk z pasji powiem coś, czego raczej nigdy się nie wyrzeknę. Przestrzeń jest pusta, materia nie istnieje, a rzeczywistość jest czarno-biała. To, jak napisałem tę książkę, cała ta maniera, potok nieweryfikowalnych tez i budowanie na nich napięcia miało spowodować, że Ty, drogi Czytelniku będziesz się raz na jakiś czas w większości przypadków ze mną nie zgadzał, a wręcz kłócił. Zainspirował mnie do tego sąsiad, bo gdy czytając książkę na dworze powiedziałem mu, iż nie zgadzam się z autorem, zażartował, abym robił to po cichu.

Również jako Fizyk z pasji wytłumaczę się z tego pozornego chaosu informacyjnego, który miał służyć pewnej konkretnej sprawie. Otóż wielu Fizyków, również zajmujących się teorią chaosu (dla mnie Fizyka w dzisiejszym kształcie nie daje odpowiedzi i aby przejść do kolejnego etapu należy stworzyć coś, co nazywam „językiem abstrakcji”) zauważa, iż w pewnych sytuacjach chaos sam się organizuje, często dając jakąś konkretną, nową i bardzo potrzebną jakość. Jest to fakt potwierdzony wielokrotnie w eksperymentach naukowych, poniekąd brak jest spójnej teorii, a nawet jakiejś przybliżonej idei jak podejść do tej sprawy.

Sprawa jest oczywiście bardzo prosta. Można i trzeba powiedzieć tyle, iż „stany rozmyte stabilizują się”. Oznacza to między innymi tyle, że jeśli w danej zamkniętej przestrzeni mamy do czynienia z szeregiem obiektów, które zdają się w większości nie mieć wspólnych cech i jako takie nie mogą być raczej ze sobą połączone w jedną całość, co oznacza chaos w tej przestrzeni (część obiektów może być statyczna, część dynamiczna, a część na przykład nie przystawać ani do takich, ani do takich), to jedynym co musimy zrobić, to przez powtórzenia próbować rozbić te objekty. Z czasem krótszym, bądź z czasem dłuższym, zaczynają one tworzyć pewnego rodzaju maź (może to być i maź pojęciowa), a jako taka maź, jest ona stanem rozmytym. Dopiero taki stan ma właściwości samoorganizacji i stabilizując się daje nam nową jakość. Jakość, czy byt na tyle osobliwy, iż możemy wykorzystać go do naszych celów nawet jako środek w osiągnięciu czegoś, na czym nam zależy.

Aby więc przejść do określenia tego, czym naprawdę jest nacjonalizm, zafundowałem Ci drogi Czytelniku swego rodzaju maź pojęciową w konkretnym chaosie teorii i dopiero teraz wyraźnie to widać. Powiedziałem tak dużo, iż chyba nie poruszyłem tylko problemu syna muła i rozwielitki, choć już teraz zapewne dostrzegasz, że był w tym pewien zamysł. Zresztą dość jednolity w swej różnorodności.

Nacjonalizm. Czym więc jest? Czy potrafimy wyzbyć się zbiorowej ksenofobii dziś, już w wieku XXI? Dlatego, iż nie jesteśmy już ani gadami, który wynalazły nienawiść, ani raczej w niczym organizacyjnie nie przypominamy społeczności jaskiniowców? Przecież ta sama zbiorowa

ksenofobia, a więc również nacjonalizm zdecydował o brutalnych gwałtach podczas wojen, które zdywersyfikowały nasze geny i pozwoliły nam na przetrwanie. O ironio! Nacjonalizm, wyrzekając się jakiegokolwiek mieszania się krwi, tak naprawdę te właśnie mieszanie krwi umożliwił i bez tego nacjonalizmu mieszanie krwi nie byłoby możliwe. Bez tej zbiorowej ksenofobii ludzkość wyginęłaby w kilkaset lat, a być może nawet w kilka dekad. Bez dokładnie tej dywersyfikacji genotypu. Pytanie o to, czy jesteśmy dziś lepszym społeczeństwem od społeczeństwa jaskiniowców? Niektórzy powiedzą, że tak. Mamy przecież smartfony, cukrzycę i wojny z powodu kapitału zawartego w środkach energonośnych. Poza tym dzieje się przecież tak dużo. Niektórzy układają piosenki typu „Małomiasteczkowy”. Niektórzy rzeczywiście idą na te studia, bo tak mama kazała, tworząc społeczeństwo, takie jak społeczeństwo polskie, będące w tej kwestii największym potentatem, gdyż w 2020 roku połowa Polaków będzie miała wyższe wykształcenie. Niektórzy udają, że podbiją świat swoim start-upem narysowanym na papierze. A nauka?! Ta oprócz tego, że nie daje z siebie nic, co moglibyśmy położyć na stole, bardzo dużo kosztuje i dzięki niej można trochę pozadzierać nosa. Czy więc jesteśmy inni? A jak cała ta gorycz wygląda w zestawieniu z innym faktem, że według niektórych, uważanych za poważne, grup naukowych ludzkość z powodu jej rozmiarów nie będzie w stanie się wyżywić, a tym samym dojdzie do katastrofy i wszyscy wyginemy? Według tych grup powinniśmy więc „zredukować” jej liczbę. Przy całym nonsensie tej operacji zbrojnej, gdyż scheda po wymordowanych

będzie tak tania, iż o wiele szybciej ludzkość odzyska swe rozmiary i będzie przyrastać jeszcze szybciej. To wszystko na co nas stać?

No właśnie. Jest na tym świecie pewien problem. Tym problemem jesteśmy my, ludzie. Ale nie dlatego, że jesteśmy tacy źli, czy też źli z natury. No... niejeden powie, że ludzie z gruntu są źli! Ale nie chodzi przecież o to, że nie potrafimy wzbić się na wyżyny, zapomnieć o swoim ego, przeprogramować świadomość i żyć w jakiejś utopii hasając po polach nago między barankami w naukowym raju na Ziemi, gdzie we wszystkich szkołach studiuje się najnowsze i jedynie poprawne lektury Dawkinsa. Z tych samych przyczyn, które pokazują jak wiele cech negatywnych możemy z siebie wykrzesać i ile jest wśród nas nienawiści – z tych samych przyczyn jesteśmy w stanie coś dostrzec. Coś bardzo ważnego. Gdy bowiem wszystkie karty zostały już rozdane, gdy każdy wie, że dotknęliśmy już masy krytycznej i nic się już nie da zrobić, to człowiek, humanoid, ten który ma tę zdobycz dwóch nóg, dwóch rąk, brzucha i głowy potrafi upaść, powstać i zginąć za przynajmniej większość z nas. To człowiek, w tej sytuacji, gdy wszystkie karty są rozdane, a sama ludzkość otrzymała tylko te znaczone i co tu dużo mówić, byle jakie karty, potrafi zasiąść do stołu, wyciągnąć pięść i po prostu nią w ten stół uderzyć. A jak i tego zrobić nie może, to wyrzucany przez wszystkie drzwi, wraca oknem. Gdy i tego zrobić nie może, dla frajdy przeskoczy płot, co okazuje się z czasem największym naszym osiągnięciem. Burząc tym samym całą pewność tego, co do czego wszyscy mieli pewność absolutną. Po co?! Aby odbudować to wszystko od nowa! Cegiełka po cegiełce. Nawet jeśli ceną jest spisanie siebie na straty.

My ludzie, homo sapiens, jesteśmy ludźmi z nazwy rozumnymi i tak w większości przypadków się jednak zachowujemy. To, jednak, co odróżnia nas od reszty Natury na tym świecie, to ta zhora buddystów. To fantazja. Człowiek pobity przez neonazistów, dlatego, iż bronił innego człowieka bitego przez neonazistów wstanie. Zapytają go – no i po co? Po co się starasz? Widzisz w tym jakiś sens? On po prostu odpowie – bo mam taką fantazję! Mam taką fantazję, aby tworzyć, obserwować, zdobywać doświadczenie, mieć silną wolę, pewność siebie, szukać wsparcia, cechować się silną osobowością, silnym charakterem i silnym temperamentem... mam taką fantazję. A po tym wszystkim mam taką fantazję, aby dzielić się z wszystkimi tymi, z którymi dzielić się chcę. Bo mam taką fantazję, a ta fantazja odróżnia mnie od zwierzęcia. Powie też – wiem jedno – tylko człowiek rozumny jest w stanie to pojąć.

Czym naprawdę jest nacjonalizm? Odpowiedź padła już na samym początku. Jako zbiorowa ksenofobia nie jest niczym innym, jak nienawiścią do narodów obcych. Tylko tym. To wszystko, co tu opisałem tak naprawdę nie traktuje o tym, czym jest nacjonalizm, albo też słowa te nie powstały, aby nacjonalizm wytłumaczyć i umotywować. Nie. To wszystko, co tu napisałem mówi o tym, czym nacjonalizm nie jest. Nacjonalizm nie jest umiejętnością poddania się w obliczu faktów i próbie dochodzenia swoich racji na rozsądnym gruncie. Tym nie jest. Nie może być więc w żaden sposób jakkolwiek próbą racjonalnych dociekań naukowych, ani też próbą interesowania się światem na najszerszym z możliwych pól. Przecież mamy się w nacjonalizmie interesować tylko tym, co dotyczy naszego podwórka.

Podwórkowe zaś tezy nacjonalizmu są bardzo proste, bo takie mają być. Sam nacjonalizm to przecież teoria podwórkowa.

1. Musimy dbać o nasze i tylko i wyłącznie nasze „gniazdo”!
2. Tu mój kwadracik!
3. Mamy dość swoich problemów i nie potrzeba nam problemów obcych!

W sumie wykreować można całą paralitanię tego typu powiedzonek, ale po co? Jeśli będzie to w kółko jedna i ta sama mowa nienawiści, tak bardzo stojąca w sprzeczności z literalnym wydźwiękiem poprawności politycznej, którą w bujnej wersji funduję Ci drogi Czytelniku w tej książce.

Unia? A po co Unia? Po co centrolewica, konserwatyści, czy liberałowie. Kto by się przejmował, że ktoś tam uważa, iż to jedyne niepopulistyczne poglądy, a tym kimś nie jestem tylko ja? Mamy swoje poglądy, powiedzą nacjonaści.

Pytanie, czy wyjść z Unii? Tak... powie również nacjonalista, który już niedługo miał zafunkcjonować w polskiej rzeczywistości politycznej. Jeszcze bardziej spolaryzowanej, niż dotychczas, bo kontrastem dla tych nacjonalistycznych, rasistowskich i neonazistowskich tez miał być odnowiony autentycznie socjalizm w Polsce. Już zaistniały te oba ugrupowania w przestrzeni politycznej i już wszyscy przybijają piątkę ich argumentom, próbując pokazać, że i diabeł w portkach mydło nosi. Zło jednak nie jedno imię nosi, choć zawsze wygląda tak samo. Choć każde zło zawsze zmierza ku samozagładzie.

Wszyscy istniejemy w tej Europie, a ta skupia się tylko i wyłącznie na tym, iż „establishment” raz na trzy miesiące zmienia dyktando pojęć, treści i

poglądów, pisane przez ogół lobbystów. Na tej samej bowiem ulicy, na której znajduje się Parlament Europejski funkcjonuje około 2000 firm lobbystycznych. Nikt nie przejmuje się tym, że oczywiście można mrozić postęp technologiczny, ale postępu społecznego już raczej się nie da. Unia Europejska w swych podstawach jest federalistyczna, ale unitaryzm i tendencje niepodległościowe spuściła do lamusa. Niesłusznie. Innymi słowy każda jednostka w Unii jest podporządkowana pod główny zarząd. Unitaryzm oznaczałby, że państwa miałyby prawo lokalnie się zrzeszać, nawet dla celów gospodarczych. Oczywiście Francja i Niemcy mimo wszystko „na legalu” to robią, ale projekt Międzymorza nie tylko został poddany szerokiej krytyce, ale też został potępiony. Niemcy w tym wszystkim powiedziały, że też się chętnie przyłączą, jednak wszyscy wiedzą dlaczego. Jako największy gracz będą mogły hamować jego rozwój.

Tendencje niepodległościowe? „Afee” - mówi Unia głosem lobbystów. Gdy państwo zaczyna mówić własnym głosem, lobbyści przestają grać pierwsze skrzypce. Wszystkiemu temu przyglądamy się my, wszyscy. Niektórzy z nas chętniej poddają się więc populistom podającym gotowe propozycje na tacy. Kryzys zbrojny? „Okay”. Tylko najpierw kryzys gospodarczy – takie decyzje zapadają w tych obrzydliwie głębokich skórzanych fotelach, gdzie nikt nie martwi się nawet kosztem farby na drukowanych banknotach. Wojny oczywiście nie ma, a świat uzna rozpoczęcie wojny od ataku na Polskę. Z oczywistych względów. Jednak problem tego, iż Putin generuje kontrowersyjne problemy, aby potem na własnych zasadach je łagodzić pozostaje.

Kiedy wynikł problem z ingerencją rosyjską na Morzu Azowskim, wiadomo było, że politycy wyczerpali już jakiejkolwiek możliwości na załatwienie tej sprawy. Jedynymi, którzy mogli cokolwiek w tej sprawie zrobić była dyplomacja. Wiadomo było, że jeśli ta „nie da ciała”, problem zostanie załatwiony. Poniekąd ze strony UE ograniczyło się to tylko do tego, iż tamtejsza szefowa dyplomacji z pozycji siedzącej wydała kilka oświadczeń potępiających działania Putina. Wszystko.

Tu ciała nie dała polska dyplomacja, zresztą najlepsza od zawsze na świecie. W trybie natychmiastowym cała polska dyplomacja najpierw poleciała do dyplomacji ukraińskiej, a następnie do europejskiej. To oczywiście nie był koniec działań dyplomacji, ale piszę ten rozdział właśnie wtedy, gdy ta sprawa jest na tapecie. Taki niby zły ten rząd Prawa i Sprawiedliwości.

To jednak rząd Prawa i Sprawiedliwości w obliczu sytuacji, gdy Roskim zaczęły „śmierdzieć” nasze jabłka powiedział „okay”... To my teraz sobie pohandlujemy z Afryką. Podpisano więc porozumienia gospodarcze z kilkoma krajami Czarnego Kontynentu. Żeby udowodnić, że nie jest to sytuacja odosobniona dodam, że podobne porozumienie gospodarcze ten sam rząd podpisał np. i z Japonią, czym nie wiem czemu, ale za bardzo się nie chwali. Więcej? Więcej przeczytasz drogi Czytelniku później, gdyż nawiążę również do sukcesów, które mi, jako osoby o poglądach centrolewicowych bardzo się podobają. Za Platformy Obywatelskiej nie było tego oczywiście mniej. Za Platformy Obywatelskiej nie było tego wcale.

Nie pogodzę się z faktem, iż 85% polskiej gospodarki jest w rękach hegemonii niemieckiej, bo co jak co, ale przyznasz, że coś tu jest chyba nie halo, nieprawdaż?

Niemcy mają ¼ emisji CO2 do atmosfery w Europie. Udają, że wycofują się z węgla, ale to zabieg wizerunkowy, gdyż ich węgiel po prostu jest nieopłacalny. Niemcy, największy truciciel Europy, nie wyzbędą się gospodarki opartej na węglu przynajmniej do 2050 roku i będą go sprowadzać albo z Chin, albo z Rosji. Gaz, który sobie prowadzą przez Nordstream-2 też nie jest puddingiem czekoladowym, bo przy spalaniu daje przede wszystkim CO2. Polska ma 1/10 emisji CO2 do atmosfery w Europie. Problem jednak w tym, jak przekonać Polaków, żebyśmy uwierzyli, iż to my jesteśmy największymi trucicielami Europy? Tym samym oczywiście, jak jeden mąż, godząc się na większe restrykcje w stosunku do naszego kraju, gdy inne kraje Europy będą sobie mogły odpuścić. Proste... jeśli się oczywiście ma media. Jesteśmy od niedawna (od dwóch lat dokładnie) rzekomo najgorszym na świecie, gorszym od Chin, producentem smogu. Tylko czekam, aż Premier Morawiecki kiedyś wyjdzie i powie, że u nas się jednak nie pali oponami... tylko bibułą! A czekam tak tylko dlatego, że ktoś ma węża w naszej kieszeni i tym kimś są niestety Niemcy.

Tak wyglądają napięcia w Polsce. Niestety. Nie dostrzegać tego, to być ślepym. Jeśli więc we wszystkich tych absurdach, sprzecznościach i paradoksach ktoś decyduje o tym, aby jakimś nowym egzotycznym i kontrowersyjnym ugrupowaniem nam wszystkim w głowach namieszać, to wzmacnia to tylko przyszły wykwit nacjonalizmu w Polsce. W związku z

tym socjaliści również zacierają ręce. Życie w takiej Polsce nie będzie już możliwe. A coś w tej Ziemi jest!

Czy potrzebna jest nam ojczyzna? Nawet jeśli ludzkość dożyje czasów, gdy budynki będą zmiennokształtne, a więc mieszkać będziemy mogli dowolnie, według oprogramowania na smartfonie, to jednak każdy z nas będzie miał ojca, mamę, rodzeństwo i w ogóle rodzinę. Potrzebujemy przynależć, bo choć wiele w nas jest cech, których nie lubimy, albo co do których nie potrafimy się przyznać, gdyż są problematyczne, to tego skrawka osobistej przestrzeni, strefy komfortu, zapewniającego nam bezpieczeństwo, zabawę i korzyść potrzebujemy. Potrzebujemy nawet po to, aby być rozsądnymi, rozważnymi i zapewnić sobie stabilizację. Potrzebujemy więzi z tym, co nas zespala, a więc potrzebujemy i rodziny i ojczyzny i narodu i również patriotyzmu. Potrzebujemy po prostu kochać to co nas zespala, a choć miłość ta jest czasem trudna i nie zawsze wzajemna, to zawsze musimy się zobowiązać do tej miłości dojrzeć. W interesie każdego z nas. Jeśli to się uda, jeśli każdy z nas zrozumie, iż dorósł do tej prawdziwej miłości, to zrozumie też że nie opiera się ona na nienawiści do tego, co kochają inni. Nie polega na nacjonalizmie, ani żadnej innej zbiorowej ksenofobii. Wtedy też każdy będzie mógł spojrzeć sobie w niebo i dojść do wniosku, że wszystkie gwiazdy świecą razem... i pewnie w kosmosie też są jacyś fajni ludzie...

Rozdział II

Płaszcz Arogancji

Propozycja Preambuły Konstytucji Rzeczypospolitej Polski

My Naród, wolny, niepodległy i równy wobec prawa, w obliczu nowych wyzwań, jak i pamięci po naszych przodkach stanowimy najwyższy akt prawny Konstytucję Rzeczypospolitej Polski.

Podejmując odpowiedzialność za lepsze jutro zobowiązujemy się strzec racji, praw i argumentów wszystkich tych, którzy tego potrzebują, będąc jednocześnie świadomymi zagrożeń płynących z braku tej odpowiedzialności.

Troska o wspólne dobro nakazuje nam dokonywać wyborów uniwersalnych, prawdziwych dla każdego obywatela Polski, a nasza przyrodzona godność zobowiązuje nas do wspólnego konstruktywnego dialogu.

autor

Człowiek. Czy naprawdę warto wierzyć w to słowo? Wierzę, że tak. Jednak ten sam człowiek, rozumiany czasem niesłusznie jako bardzo skomplikowana maszyna, czyli zapewne układ prosty, takim nie jest. Układ prosty to na przykład „kupa kamieni”, którą można policzyć i przestawić. Coś jednak zawsze dzieje się, gdy układ prosty staje się bardziej i coraz, coraz bardziej skomplikowany. Staje się on układem złożonym. Dla

niektórych kwestia ilości nie wiąże się w żaden sposób z kwestią jakości, ale o ile układ prosty ma niski poziom złożoności, to układ złożony ma ten poziom bardzo wysoki. Do układu prostego w znakomitej większości przypadków możemy przypisać tylko wielkości ilościowe, kwantyfikowalne (przeliczalne), a dla układu złożonego wielkości praktycznie tylko jakościowe, niekwantyfikowalne (nieprzeliczalne). Wiąże się to z faktem, iż udowodnione naukowo zjawiska takie jak synergia, synestezja, czy synchronia mają się praktycznie nijak do układu prostego, a dopiero układ złożony, istniejący w całości jako coś komplementarnego, wykazuje się wielowymiarowymi cechami, na przykład takimi... jakie ma człowiek.

Owszem. Był w historii filozofii trend, iż całość miała być tylko zbiorem składników. Był i znikł. Dopiero zaistnienie czegoś takiego, jak całość, nadaje jej cech odróżnialnych od innych całości. Całości zresztą wywodzących się do pewnych granic z innych, często mniejszych całości o różnych cechach, które ją budują.

Człowiek ma więc cechy, których nie ma niemal identyczny z nami szympan, będący też pewną całością. Potrafi budować, wzruszać się na widok opowieści o posągu Dawida, kochać piosenkarkę z drugiej strony naszego globu, czy planować przedsięwzięcia polityczne. Potrafimy jako te unikalne całości, choć czasem różne od siebie, to jednak bardzo podobne, czegoś dowieść. Dowieść, iż przede wszystkim, jesteśmy więcej, niż tylko układem prostym. Czymś więcej, niż tylko kupą kamieni, którą można policzyć i przesunąć. W naszej komplementarnej całości jest ten jednolity

zamysł. Zamysł, który jest również czymś bardzo niebezpiecznym i zgubnym.

Każdy człowiek, założmy przy pomocy wartości dodanej własnego wysiłku do wszystkiego tego, co przejął, czasem ma tę szansę dowieść, na przykład samemu sobie, że czegoś wielkiego dokonał. Idea centrolewicowa w tej kwestii jest bardzo prosta i nazywa się egalitaryzmem losu. W dzisiejszej wersji brzmi tak, iż wszystko, co nas dotyczy, a więc też to, co jesteśmy w stanie zmienić, zależy od trzech czynników. Po pierwsze od nas samych. Po drugie od naszego najbliższego otoczenia, czyli na przykład rodziny, znajomych i koniecznego wsparcia, jakie możemy pozyskać, gdyż naturalnie bez niego latalibyśmy tylko z gołym tyłkiem po kraju. Po trzecie zależy od ogółu, który daje nam warunki, na przykład do rozwoju i do funkcjonowania w takim, a nie innym świecie. Gdyby nie ogół, świat mógłby być o wiele gorszy. Byłby światem, w którym my, zamknięci podczas naszego krótkiego życia w klatce, charakteryzowalibyśmy się brakiem szans ani na skorzystanie z laptopa, ani nawet na zjedzenie suchej bułki. Co niestety wciąż jest normą w niektórych krajach, gdzie toczy się wojna. Wojna o kilka zer na papierze stworzonym z wyzysku człowieka przez człowieka.

Czasem więc część z nas radzi sobie z tym modelem na różne sposoby i osiąga coś, co prawie wszyscy nazywają sukcesem. To swoisty dowód tego, iż w jakimś stopniu wybiliśmy się ponad resztę, bo choć kolejka jest długa, to zawsze lepiej jednak mieć ten argument przynajmniej drobnej przewagi. Sam sukces lepiej wtedy do nas przylega. Czasem wręcz nieoczekiwany sukces w takim układzie przylega do nas z automatu.

Pomijając fakt, iż w społeczeństwie polskim nie musi istnieć żadna zmowa, czy spisek, ale raczej pewnego rodzaju zaszłość kulturowa, że jak ktoś jest trochę „do przodu”, to na bank dostanie „w czapę”. Chodzi w rzeczywistości o konkurencję i pieniądze. Chodzi o słuszną linię, jaką obrała władza, a więc niekontrolowana nowa jakość mogłaby wymienić „starą kadrę” i dokonać rewolucji. O jaką rewolucję chodzi? O tą naiwną, gdy ktoś z zasadami i wyraźnie zarysowaną etyką zawodową nie podpisuje się pod fakturą na za dużo zer. Oczywiście w tej kulturze wciąż uważa się, iż lepsze jest to papierologiczne ciepełko, niż „nowe porządki”. Kto za to płaci? Ja, Pan, Pani, społeczeństwo... Wszyscy utrzymujemy jednak w tej kwestii sztamę. Ten kto wychyla się więc przed szereg, oberwie tylko dla zasady... i ci, od których oberwał, poczekają, aż za to podziękują. Oberwie, bo niemal wszyscy uważamy takich wybijających się przed szereg za „łatwy cel”.

Co jednak, gdy gdzieś w tej stercie biurokracji i „korekt zerowych”, czyli niezliczonej ilości faktur opiewających na kwotę „0” (czytaj – ZERO), gdzie człowiek zostaje wezwany osobiście z jednym takim papierkiem z jednego województwa do innego i zapomina pieczętka, więc musi „niestety wrócić” (pomijając fakt, że mógłby równie dobrze przesłać „to” przez Internet)... gdzieś w tym wszystkim... coraz częściej uczymy się tak naprawdę robić swoje? Co wtedy? Najczęściej na końcu takiej drogi Najjaśniejsza ma dla nas scenariusz jak z filmu „Układ Zamknięty”, albo „Złodzieje z Wiejskiej”. Obraz żenujący, a jednak kreujący nasze piekiełko. Zostajemy tu, bo coś przecież w tej Ziemi jest i kto popcha ten wózek, jeśli nie My?

Z dnia na dzień, każdy e-mail i każdy telefon staje się heroicznym wysiłkiem w walce z systemem. System jest prosty. W Polsce co 5. to urzędnik, a ten jest zatrudniany według jednej i tylko jednej kalkulacji, iż każdy ma przynieść 1 mln PLN „oszczędności”. Nie będę tu opowiadał o absurdach urzędniczych, bo wszyscy o nich mogą wszem i wobec dowiedzieć się w dobie smartfonów. Wystarczy jedna aplikacja i obejrzymy setki „zabawnych” filmików, gdzie były urzędnik opowiada „jak to naprawdę jest”. Napisałem „zabawnych”, bo jest to śmiech przez łzy. Człowiek ma to do siebie, iż pierwszą i najlepszą dla niego odpowiedzią na paradoks jest oczywiście absurd, a więc jedyne co pozostaje, to śmiech przez łzy.

Czy nic się nie da zrobić? Można. Właściwa informatyzacja urzędów doprowadziłaby do radykalnego spadku zatrudnionych urzędników. To jednak oznaczałoby, iż musieliby oni poszukać sobie prawdziwej roboty... co „niestety dziś jest już niemożliwe”.

Człowiek. No właśnie. Weźmy na tapetę jednego z nich, żyjącego w Naszym Kraju, który jest akurat całkiem udanym przedsiębiorcą. Nie tylko pozostanie anonimowym, ale przekonasz się drogi Czytelniku, że jest to pewien archetyp, odwzorowujący wielu tutejszych przedsiębiorców. Jest to postać fikcyjna, choć oczywiście ta przekonała się, iż jeśli w biznesie zawsze „pytanie na pytanie”, to cały biznes nie jest budowaniem jakiejś prawdy, czy kłamstwa, ale jest budowaniem swego rodzaju mitu. Słowo „fikcja” pasuje tu więc „jak ulał”, a mit przedsiębiorcy oznacza przeważnie 70% prawdy i 30% kłamstwa.

Przedsiębiorca ten w dobie ostatniego światowego kryzysu przejął zrujnowane długami przedsiębiorstwo. Było tak na dnie, iż codziennie praktycznie dochodziło do sytuacji, że trzeba było w ciągu 15. minut odbierać po 3. telefony od komorników. Stał budynek i były długi. Przedsiębiorca ten jednak ruszył ostro z buta i w kilka lat zbudował potęgę swojego małego imperium. Pomińmy tu urzędników. Przynajmniej na razie są tu nieistotni.

Po kilku latach firma zdobyła dominację na rynku, jednak przedsiębiorca ten zauważył, iż jeśli dalej by się tak rozwijał, a on za cel postanowił sobie konkurować jakością, to poprawiając jakość... sprawiłby, iż jakość by się pogorszyła. Mniejsza o szczegóły, ale chodziło o możliwości budynku. Więcej jakości oznaczało więcej klientów, a jeśli budynek miał ograniczone zasoby, to przy całkowitym obłożeniu budynku klientami, zwiększaniu jakości, a tym samym zwiększaniu liczby klientów, przedsiębiorca nie mógłby spełnić potrzeb klientów. Innymi słowy obiecałby gruszki na wierzbie, których nie ma, a klienci odeszliby twierdząc, że jakość spadła.

Dwoił się i troił, jednak to spotkanie „ze ścianą”, czyli według niego „masą krytyczną” stało się podstawowym problemem. Odsuwał więc jego perspektywę. Był uzależniony od wzrostu jakości, gdyż ten oznaczał wzrost dochodów, a to właśnie wzrost dochodów wyznaczał wartość przedsiębiorstwa. Musiał mimo wszystko znaleźć sposób na poprawę jakości. Wiedział, iż korygowanie standardów jakości wiąże się mimo wszystko z erozją tych standardów w przedsiębiorstwie, ale w różnym stopniu w różnych jego segmentach. Podzielił więc przedsiębiorstwo na X segmentów i

monitorował jakość w każdym z nich. Segmenty te ustawione były w kolejce, od tego, w którym jakość spadła najmniej, do tego, w którym jakość spadła najbardziej. Kiedy w tym ostatnim jakość spadła poniżej jego normy, przedsiębiorca ten poprawiał jakość w tym segmencie tak, aby ustawić go na początku kolejki. Tak, aby jakość w tym segmencie była najlepsza.

Grając w strategiczną grę komputerową ze znajomymi w Internecie, dostrzegł też, że kolega, który zawsze wygrywał, stosuje bardzo prostą strategię. Zawsze zmierza do pełnej równowagi stanu gry, a więc jeśli ktoś inny wygrywa, on osiąga tak samo dobry wynik, a kiedy ktoś przegrywa, on niemal podkłada się i oddaje swoje przedpole tak, aby rzekomo były wyrównane szanse. Kolega ten wygrywał tylko dlatego, iż tak prowadzony konflikt mógł trwać zdaje się w nieskończoność, a więc reszta poddawała się ze znudzenia. Przedsiębiorca ten jednak pasjonujący się tym czymś, co czyni jego samego, taką wręcz „swoją rzeczą”, którą była między innymi ta gra, dokonał czegoś przewrotnego. Nie tylko dążył do pełnej równowagi jak kolega, gdyż według niego układ dążący do pełnej równowagi szybko eroduje, ale także wprowadził do tej równowagi dążenie do drobnej korzyści na swoją stronę. Tym samym przejął dominację nad tą grą zespołową stając się nowym mistrzem. Stosowanie tej strategii zapewniło mu bowiem dość szybkie rezultaty. Lubił się po prostu rozerwać i to właśnie robił w czasie wolnym.

Kiedy więc w otoczeniu jego realnego przedsiębiorstwa pojawił się konkurent, z którym nie miał rzekomo szansy wygrać, a ten zawsze jako pierwszy atakował z niewyobrażalną siłą, nasz przedsiębiorca przyjął dwie

strategie. Jedna z nich wywodziła się z wcześniejszych wniosków, To strategia „górną granicy średniej”, czyli dążenie do równowagi z drobną przewagą. Kiedy konkurent zauważył, iż nie wygra, to mimo wszystko postanowił jednak trwać, gdyż trudno było mu się wycofać. Nasz przedsiębiorca zastosował wtedy inne prawidło, tym razem z książek science-fiction, czyli: „jeśli masz do czynienia z oponentem, z którym nie masz szans wygrać, zacznij go dokarmiać, a dochowasz się oponenta godnego samego siebie”. Wkrótce konkurencja całkowicie wycofała się, a jej wyeliminowanie dostarczyło wielu argumentów naszemu przedsiębiorcy, który mógł już między innymi przejąć po niskich kosztach budynki konkurencji dostosowane i wyposażone dokładnie pod potrzeby naszego rezolutnego przedsiębiorcy.

Nie były to jedyne ciekawe strategie, czy posunięcia tego przedsiębiorcy. Stosował wiele innych. Na przykład w momencie, gdy zauważył, że „żyjąc” wyniki na początku wzrost był wyższy, jednak po jakimś, krótkim czasie sam wzrost, choć był, to zaczął się kurczyć. Doprowadzał więc wtedy do rozluźnienia... i tak na zmianę. Na zasadzie rozwinięcia efektu Hawthorne, cały czas zwiększając jakość i wydajność. Stosując zasadę stres-rozluźnienie-stres.

W momencie też chaosu w przedsiębiorstwie, gdyż czasem miał naprawdę bardzo dużo zleceń, zauważał, iż ten chaos czasem sam się organizował, dostarczając temu przedsiębiorcy wniosków o nowych usprawnieniach. Kiedy więc natłok spraw się kończył, przedsiębiorca ten przeznaczał ogromną ilość środków na wdrażanie właśnie takich usprawnień, które

wynikały również z jego wniosków i obserwacji samo-organizującego się chaosu.

Tu jednak pojawili się urzędnicy. Choć coraz częściej miał do czynienia z absurdami urzędniczymi, ich aktywność wzmagala się wraz z każdym, nawet najmniejszym sukcesem. Wreszcie nie wytrzymał i przyznał, że ma tego dość, wszystko miał sprzedać i uciec za granicę realizować swój „Projekt Dżungla”. Niemal wszyscy myśleli, że żartuje, ale bliscy wiedzieli, iż trzeba się z tym liczyć. Mając już wtedy bardzo dużo pieniędzy, kupił wyspę koło Bora-Bora i szympansa, którego potraktował jak członka rodziny. Pasjonowały go te zwierzęta, bo po prostu jego największą ambicją było nie być tak spiętym, jak dupa szympansa i dlatego najbardziej je lubił.

Choć nie jest to opowieść prawdziwa, a pytanie „co mają do tego urzędnicy” nie za bardzo wynika z tej opowieści, to dodam tylko, że gdyby autentyczni bohaterowie filmów „Układ Zamknięty” i „Złodzieje z Wiejskiej” w pewnym kluczowym dla nich momencie kariery zdecydowali się na właśnie takie posunięcie, jak ten „Projekt Dżungla”, byliby gdzieś tam, hen... hen daleko, szczęśliwymi ludźmi sączącymi poncz ze słomki w rajskim świetle egzotycznego nieba. Dziś owszem... mają jeszcze ciekawszą opowieść, ale nie jest to z całą pewnością opowieść tak bujnie okraszona samymi sukcesami. Jest czymś kompletnie odwrotnym!

Ten rozdział ma jednak najprawdopodobniej całkiem inny finał, niż to sobie teraz Mój drogi Czytelniku wyobrażasz.

Wróćmy jednak do wątku. Mnóstwo jest dziś w mediach dla „wykształciuchów” mowy okraszonej bardzo syntetyczną, a przez to w ogóle

nie sympatyczną poprawnością polityczną. Zaprasza się do mediów „wybitnych ekspertów”, a pytania dlaczego to oni są na tym stanowisku, dlaczego to ich się zaprasza i jak to jest, że co by się nie działo, nie wychodzą ze studia... choć w części są dla mnie niejasne.

Pewien człowiek „z branży wydobywczej” stwierdza bowiem w pewnym radiu, iż Prezydent Duda bredzi, twierdząc, że „nie pozwoli zamordować polskiego węgla”. Tego węgla, którego według tego wybitnego eksperta z branży mamy na 10, maksymalnie 20 lat. Otóż ja przypadkiem też znam ludzi z tej branży. Znam bowiem człowieka, który wie, iż polskie złoża, zwłaszcza ze względu na bardzo ciekawe położenie geograficzne Polski są nie tylko niedoszacowane, ale też rozmiar ich ogromu za wszelką cenę ma zostać przemilczany. Tenże, w sumie młody, człowiek pracuje dla KGHM Polska Miedź S.A. Owszem, kryzys jest. W Lubinie wydobywanie miedzi spada, a kompania twierdzi, że nie opłaca jej się budować nowych szybów, bo złoża są na wyczerpaniu.

Okazuje się jednak, iż dzisiejsza technologia jest oczywiście bardzo przestarzała i... no cóż... Gdyby wykorzystać stare instalacje i wpuścić rurę trochę głębiej, a okazałoby się to o wiele tańsze, niż dziś, to naszą własną miedzią, z samego tylko Lubina zaopatrzylibyśmy co najmniej kilkakrotnie cały świat. Podobnie jest z wszystkimi innymi zasobami, również tymi, które wydobywa świat, a które u nas... no właśnie...

Tenże młody człowiek, razem z grupą innych ludzi postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Zorganizował wszystko, aby do tego doprowadzić, włączając w to ludzi, pieniądze i pozwolenia. Udało się wszystko. Nie przewidziano

tylko jednego. Choć wszystko było dopięte na ostatni guzik, to na trzy miesiące przed rozpoczęciem robót przyszła „decyzja z Warszawy” zakręcająca kurek od źródła. Zabroniono im dalszych prac bez uzasadnienia. Pieniądze przepadły. Oczywiście nie jest to przypadek odosobniony i ten schemat powieliła się praktycznie we wszystkich segmentach naszej gospodarki.

Co zaś się tyczy KGHM... Te wciąż działa. Co rusz powołują nowego prezesa, ten mówi, że u nas miedzi nie ma, ale odnajduje ją na mapie jakiegoś egzotycznego kraju w Afryce, czy Ameryce Południowej i kupuje tam te „złoża”. Oczywiście wszystko jest tylko na papierze i gdyby ktoś miał tam się dostać, to zobaczy tylko szum wiatru pomiędzy liśćmi baobabów. Działka jednak zawsze kosztuje dużo, a po jakimś pół roku, choć „nie da się wycofać inwestycji”, okazuje się, że może tam i miedź kiedyś będzie, ale pewnie w kolejnej epoce dinozaurów za kilka miliardów lat. Prezesa zwalniamy, artykuł jest w sieci... i tyle. Tak wygląda dziś polska branża wydobywcza.

Więcej?

Zapewne myślisz Mój drogi Czytelniku, że chciałem Cię przekonać, iż to wszystko wina tego, tamtego, albo jeszcze innego Rządu? Albo urzędników? Właśnie raczej nie. Jednak podam Ci jeszcze jeden przykład.

W czasach rządów koalicji PO-PSL Urząd Celny monitorując sytuację na granicy dostrzegł, że do Polski z Niemiec dociera paliwo, które wcale nie jest oclone i na jako takie nie będzie na nie akcyzy. Jaka była odpowiedź Ministerstwa? „Zostawcie to”. Czy więc PO jest winne? Zapewniam Cię mój drogi Czytelniku... NIKT (!!!) z PO nie wziął za to nawet grosza łapówki.

Wszystko, co tu opisałem dzieje się z pewnej konkretnej przyczyny i też nie jest to nawet wina któregokolwiek z krajów, które najchętniej widziałyby nasze interesy jako słabsze, od interesów ich krajów... Nie.

Na studiach miałem napisać pewną pracę. Powiedziano mi jednak, że mogę napisać po wcześniejszych konsultacjach praktycznie wszystko, bylebym tylko nie próbował eksplikować czegokolwiek związanego z Adolfem Hitlerem. Ja posłuchałem, ale inni nie i dostali banię. Problem jest jednak dość prozaiczny. To specyficzne położenie Polski, dokładnie w geograficznym centrum Europy, a w związku z tym bardzo, bardzo ciekawe złoża... jest też problematyczne pod kątem strategicznym. I Hitler wtedy i wielu dziś wie, że jeśli zaczynać wojnę światową, to świat ogłosi ją dopiero po ataku na naszą Najjaśniejszą. Otóż fakt, że jest nam tak ciężko nie jest wcale przypadkowy.

Gdyby bowiem potajemnie rozlokować tu broń chemiczną i biologiczną, wojna hybrydowa oznaczałaby tylko wciśnięcie pewnego guzika. Zawiałoby, zaszumiało, a potem nikt nawet nie kwapiłby się pozbierać ciał. Do niedawna taka operacja była do przeprowadzenia w Polsce o wiele prościej, niż dziś. Przejęcie tutejszych struktur oznaczałoby o wiele łatwiejsze prowadzenie konfliktu zbrojnego na cały świat. Podobnie zresztą jak podczas II wojny światowej. Gdyby więc Polska była biedna, prowadzenie takich działań byłoby trudniejsze i najprawdopodobniej stłumione. Gdyby jednak była bogata... sam sobie odpowiedz drogi Czytelniku.

Stąd wszelkie dyrektywy dla naszego kraju mają nas utrzymywać w pewnej takiej „stazie”. Takiej „polityce ciepłej wody w kranie”. Nie wolno nam

zrobić z tego kraju El-Dorado, gdyż agresorom przy dzisiejszej technologii bardzo łatwo byłoby przejąć nad naszym krajem kontrolę i gdybyśmy pozostawili ten kraj potencjalnym agresorom jako kraj bogaty o bardzo dobrze rozwiniętych strukturach, oznaczałoby to niemal natychmiastowe zwycięstwo tych agresorów nad resztą świata. Pomijając fakt, iż wcześniej 40 mln Polaków wybiłaby broń biologiczna i chemiczna. W absolutnych męczarniach. Jeśli jednak jest tak jak jest, a aż tak strasznie nie jest, agresorzy nie są aż tak bardzo zainteresowani takim scenariuszem, gdyż liczą się z kontratakiem NATO. Do którego zresztą należymy.

Powtórzę, że jeśli jednak należymy do NATO, to dopiero atak na Polskę, czyli atak na NATO oznaczałby III wojnę światową. Argumenty polityki, którą tu przedstawiłem, osłabiają jednak ten scenariusz i czynią go mało prawdopodobnym. Pozostaje jednak pytanie, czy „dajemy się tak łatwo” tylko w kwestiach gospodarczych, czy też powinniśmy brać przez sito każdą opinię, która do nas dociera?

Rzeczywiście są tacy wśród nas, którzy wiedzą, co dokładnie mówił Sławomir Wiśniewski tuż po Katastrofie Smoleńskiej, ale jest pewna cena wolności, którą kupiliśmy sobie podczas Postanowień Okrągłostołowych. Po prostu tą wolność sobie kupiliśmy i wojna polsko-polska musi niestety się zakończyć. To, że Jarosław Kaczyński rzucił pomysł na tą książkę zapewne wynikał również z faktu, iż w sposób kontrolowany doprowadza on dziś do upadku partii Prawo i Sprawiedliwość, na co nie zdobyła się żadna wcześniejsza ekipa rządząca, a przez to zniknęła absolutnie ze sceny politycznej.

To ja zasugerowałem na forum politycznym słowa, które powtórzyła poseł Beata Kempa, iż jest to medialny strzał w tył głowy polskiego żołnierza, polskiego oficera! Pewne słowa muszą być powiedziane w swoim konkretnym czasie, ale też czasem trudno jest je cofnąć. Co się jednak stało, to zapewne stać się musiało. Moim zdaniem przyznanie dziś, iż nie była to ani wina polskich przygotowań, ani zamach, ani wina pilota nie tylko należy się nam wszystkim, ale wprowadza pewien konkretny argument w naszej polityce. Bardzo ważny argument. Jeśli politycy podstawiają sobie taborety, aby coraz głośniej wyrażać swą mowę nienawiści adresując się do katastrofy smoleńskiej, która w dzisiejszej formie i wersji, tak, czy siak jest już tylko mitem, to prawda w tym temacie mogłaby na tyle wzruszyć politykę, aby coś realnie zmienić. Potrzeba nam odwrócić trend jeszcze większej polaryzacji na skrajną lewicę i skrajną prawicę polskiej polityki i wprowadzić do naszej polityki partię centrolewicową. Oczywiście dając tym samym trochę chleba w kręgosłup establishmentowi, który mimo swych wad powinien jednak przekonać Polskę do rozsądku, rozwagi i stabilizacji.

Czy była to więc wina pilota? No może w jednym przypadku była to wina pilota. Mojego pilota. Od telewizora. Zasmucę właścicieli naszych tabloidów informacyjnych. Niektórzy czasem rzeczywiście oglądają Was cały czas.

Spotkajmy się więc wpół drogi i zburzmy to, co pewne. Oczywiście po to, aby odbudować nową, lepszą rzeczywistość. Ba... zburzmy to, pod czym podpisała się w 1989 cała przyszła polska polityka. Tak konkretnie to absolutnie wszystkie ekipy rządzące.

No więc??

O 10.00 Sławomir Wiśniewski, redaktor TVP, którego okno w hotelu nie wychodziło wcale na lotnisko, biegał spocony po lesie, bo Rosjanie zabrali mu kamerę i postraszyli. Dorwała go redaktorka TVP INFO i zapytała, co się stało? Powiedział, iż widział samolot lecący pod kątem 45° z ryczącym i dymiącym lewym silnikiem. Oczywiście „cały dzień na TVP INFO” można obejrzeć na YouTube, ale został on zmanipulowany.

Zestawmy to jednak z tym, że kilka tygodni wcześniej samolot prezydencki uczestniczył w akcji ratunkowej na Haiti (po tamtejszym trzęsieniu Ziemi), gdzie samolot ten nie mógł wrócić do Polski i był własnoręcznie naprawiany przez ekipę ratunkową przez 4 godziny.

Zestawmy to też z argumentem, że w Internecie na dwa dni pojawił się artykuł, w którym pisano, iż przeglądy samolotu prezydenckiego były fikcją. Miała tego dokonywać firma pani Gałganowej... tej Gałganowej, od tych samolotów... i stwierdzenia, tu cytuję: „Mużna?? Ni mużna!”. Nigdy tych przeglądów firma Pani Gałganowej nie dokonywała, a dokonywali tego Polacy. Zresztą trochę po kryjomu. Faktura jednak od dawien dawna była, a w okienku na kwotę zawsze miała bardzo dużo zer. Oczywiście pani Gałganowa splajtowała. Istotne w tym wszystkim było to, że poseł Zemke ogłosił piętnaście minut po wypadku winę pilota, a więc ta stała się oczywista.

Putin mógł poprzytulać wszystkich, pograć wrakiem... i utrzymać mit radzieckiej maszyny niezniszczalnej! Był mu konieczny, gdyż niedługo miał wejść do sprzedaży pierwszy rosyjski samolot pasażerski, stworzony po upadku żelaznej kurtyny. Ten, który niestety rozbił się w pierwszym locie

testowym. Jest i więcej takich „rodzyneków”. Tego typu, że na przykład wysokościomierz radiowy na filmie rosyjskim zachowywał się „paranoidalnie” w stosunku do innych urządzeń, jakby przyszłego upadku się przestraszył, a miało to wszystko nadać dramatyzmu sytuacji. Będąc nad Ziemią na przykład na wysokości 100, 50, czy 0 metrów pokazywał wartości „z kosmosu”, choć raport stwierdzał, że wszystkie urządzenia pokładowe działały sprawnie.

Sprawnie...

Dziwnym zbiegiem okoliczności na rosyjskich stenogramach my sami tytułowaliśmy się niby „Polish Air Force One”, a nie „Pi-El-Foxtrot-Łan-Zirol-Łan”, jak przy starcie. Co dodaje pewnego obrazu geniuszu rosyjskich think-tanków, o których mityczności wciąż tyle słyszymy. To, że nikt już do końca nie wie ile było podejść – 4, 2, 1, a może 15 to też inna sprawa. Prędkość samego spadania samolotu to już coś o wiele bardziej ambitnego, niż tylko film fantasy pod tytułem „Never ending story”.

Oczywiście reakcja polskich władz ze wszystkich stron była taka, jaka być powinna. Winić nie ma kogo, bo jeśli wszyscy byli winni i po cichu wiedzieli o tym wszystkim, to winny nie był nikt. Gdyby reakcja Polski była inna, już by nas nie było. Kiedy zasugerowałem na forum internetowym Pana Artura Żmijewskiego, aby odczytał listę poległych – pomysł przeszedł. Kiedy mój proboszcz powiedział 11 kwietnia w Niedzielę we wzruszeniu emocjonalnym „różnijmy się pięknie”, cytując tym samym słowa pewnego biskupa – wszyscy w mediach podłapali również to. Naturalnie dlatego, że to forum było i jest podstawową lekturą polityków. Kiedy pomyślałem, że

warto wspomnieć słowa mojego mentora, Profesora Józefa Ambroszki, czyli „najważniejszy jest dialog”... i to przeszło. Tyle, że nie jest to ani książka autobiograficzna, ani nawet książka z Fizyki, a więc sobie oszczędzę większej liczby rzeczy, które w różnych sprawach u mnie przeszły, a które nie. W sumie to jednak „umiem Internet”.

Nie zmienia to faktu, że oliwa zawsze sprawiedliwa i kiedyś na wierzch wypływa. Jak to się jednak stało, że jedyny świadek, Sławomir Wiśniewski, mówił to, co mówił? No właśnie...

Oczywiście żalów można mieć wiele. Na przykład o to, że niestety wielu nas jednak dowiedziało się, iż gdy w heroicznej obronie dostępu mediów do parlamentu, gdzie spammowani byliśmy informacjami o tym, który to polityk którego to polityka przeleciał, a który jest chory psychicznie chodziło o co innego. Powtórzę – dla większości Polaków niekończący się serial pt. „Pewien Pan pokłócił się z innym Panem” miał drugie dno. Chodziło tylko o to, aby odwrócić uwagę publiczną od faktu, że w tym „okupowanym” kanapkami parlamencie zdążono przepchnąć dokładnie 4 ustawy. Bardzo niekorzystne zresztą dla Polski, a stworzone przez ludzi, o których wolelibyśmy zapomnieć. Któryś z polityków podniósł tą sprawę? A może nie wiedział? Wiedział. Wszyscy, jak jeden mąż coś wtedy podnieśli. Łapkę w górę.

No dobrze. A może chodzi o to, że to politycy są źli, ale w innym, lepszym świecie technokratycznym (to modne dziś słowo), sterowanym zdobyczami naukowymi, będzie nam się żyło „lepiej”. Tak, tej technokracji, w której jako te świnie z kodem paskowym z tyłu głowy, podłączeni do telewizora,

oglądamy bloki reklamowe przerywane „audycjami z lokowaniem produktu”. Po co? Aby biegać do „apteki” i kupować kolejny „preparat” z karczocha, witaminy C i cebuli, którego nazwy i tak nie zapamiętamy, a który w magiczny sposób wyleczy naszą wątrobę, mózg i penisa... a ten będzie „zwart i gotów” niczym prężący się Kraśko podczas debaty prezydenckiej! No co tu się czepiać. Może pozbadźmy się wszystkich dyletantów i dajmy w końcu ekspertom dojść do głosu!

Tak, właśnie tym ekspertom od „nauki korporacyjnej”. Tej, która rozpoczęła się w roku 1887 eksperymentem Michaelsona-Morleya na ich interferometrze, gdzie udowodniono, iż eteru nie ma? To tam rozpoczął się nurt indeterministyczny, swoiście zarządzając swym rzekomym geniuszem całą naukę. Tyle, że ta sama nauka wysiłkiem całego świata zbudowała największy w historii i najdroższy zderzacz hadronów, aby jednak udowodnić, iż ten nieistniejący eter jednak istnieje. Żeby się zgadzało w statystykach i nikt się nie czepiał, nazwano ten eter „kondensatem Higgsa”. Obarczę cię Czytelniku „nudą” o tej dzisiejszej Fizyce, bo reszta nauki jest już trochę gorsza. Kogo to obchodzi? Część z nas na pewno.

Dziś Fizyka coś tam zaobserwuje. Powiedzmy efekt kwantowy. Mniejsza o to, że dzięki sferom Blocha można zbudować teorię łączącą teorię kwantową z relatywistyczną, choć w niej wszechświat w swych podstawach jest wyłącznie matematyczny i ani masa w podstawach, ani energia nie istnieją. Nawet po to, aby zbudować napęd, dzięki któremu w jakieś mniej niż „2 godziny, 2 sekundy” można dolecieć na Proximę B i sprawdzić, czy jest tam

życie. Po co? Aby zmotywować ludzkość do przemian większych niż te polocie człowieka na księżyc... Mniejsza o to...

Naukowcy dziś zaobserwują kropkę na kropce i robią posępną minę. Są wielcy, a więc kropka na kropce oznacza jeszcze więcej roboty (czytaj: jeszcze więcej „kanapek” i paliwa w podróż do zderzacza hadronów). Norma. Tyle, że jeśli cały świat wszem i wobec głosem znakomitej większości zgodził się, iż nieodwołalnym jest prawdziwość teorii Wielkiego Niewypału, to jednak niektórym coś tu nie gra. Taki naukowiec, jak Halton Arp przez badania nad jasnością kwazarów potwierdził naukowo, iż rzekoma „ucieczka galaktyk” w rzekomym „efekcie Dopplera” ma się nijak do „przesunięcia ku czerwieni”, a więc sam Big Bang to mrzonki... Przesunięcie ku czerwieni według jego badań kwazarów nie jest wywołane efektem Dopplera. Jego prace nie tylko doczekały się całkowitego zakazu publikacji, ale sam zainteresowany stał się bankrutem. Nie z własnej winy. Jego bankructwo było sponsorowane, choć do dziś próbuje publikować na YouTube.

Jeszcze? Bo to trochę za mało powiedziane o „prawdzie” nauki korporacyjnej.

Zdarzyło się bowiem tak, iż grupa naukowców obserwowała niebo i zauważyła, iż w wybuchu supernowej najpierw spostrzeżono docierające do nas neutrina pewnego typu, a dopiero potem fotony. Hmmm... Postanowili więc sprawdzić, czy te dokładnie neutrina poruszają się szybciej od fotonów. Wyszło, że tak. Jednak, że stoi to absolutnie w sprzeczności z tezami Einsteina zmuszeni byli publicznie przyznać, że „zegarek im się popsuł”. Komisja Noblowska zareagowała na to tak, iż niedawno postanowiła

przyznać Nagrodę Nobla marginalizowanemu wcześniej dowodowi, iż neutrina „jednak mają masę”. Czyli bilans wyszedł w miarę na „zero”. Jeśli była potrzeba nagrodzić neutrina, to te neutrina zostały przecież nagrodzone!

Nie. Przynajmniej ja to mówię, choć sztuka mówienia tak, jest o wiele ważniejszą, niż ta, która uczy mówić „nie”. Każdy bowiem potrafi powiedzieć, że coś jest niemożliwe. Niemożliwe w obliczu tego, czy owego. Powiedzieć na przykład, iż jest naukowy dowód na to, iż nie może być teorii tłumaczącej mechanikę kwantową, to tak, jak słowami jednego z najwybitniejszych Fizyków uznać: „Rzeczywistość jest, jaka jest, a jak Ci się to nie podoba, to ją sobie zmień”. Coś w tym jest. Sztuką nie jest jednak nie mówić „nie”. Sztuką jest wyrzucić ze swojego słownika słowo „nigdy”.

Mój drogi Czytelniku. Żyjesz w świecie, w którym niedługo twoje dziecko będzie brało szczepionkę na nieistniejącą chorobę, której jedynym składnikiem będzie rtęć. Bo już i tak jest jej tam za dużo, a sama dżdżownica po równej swojej masie dawce zdycha po paraliżu nerwowym (poruszam tu tylko i wyłącznie problem obecności rtęci w szczepionkach, nie promując idei iż szczepionki to coś złego).

Żyjesz w świecie, w którym praktycznie każda informacja, która do ciebie dociera z mediów, jest kłamstwem, a że oglądasz ją na przykład w Internecie, nie oznacza, iż została stworzona przez pasjonatów. Jeśli tekst ma zdjęcie, a film zawiera przekaz „półprofesjonalny” i ma setki tysięcy odsłon – całość stworzyli profesjonaliści w konkretnym celu – ogłupienia Ciebie.

Nie. Tylko mała część z filmów zdobędzie więcej niż 16 odsłon. To na pewno nie jest ta część filmów, która stworzona jest tylko po to, aby twój czas reakcji konsumenckiej skrócił się np. z 1 minuty, do ułamka sekundy. Internet to nie jakiś tam „bóg”. Ktoś za te serwery płaci i musi mu się to zwrócić. Gdybyś jednak zaczął dowiadywać się prawdy, twoje podstawowe potrzeby byłyby spełnione, a więc zacząłbyś mieć coraz więcej potrzeb unikalnych. Szukałbyś wtedy produktów niszowych, a to zagroziłoby lobby, gdyż wsparłoby drobną przedsiębiorczość.

Czy więc to tak mało istotne, że w drobnych sprawach ze wszystkich stron jesteś okłamywany? Nie. Pewien Człowiek 2000 lat temu powiedział, iż jeśli ktoś nie jest wierny w rzeczy drobnej, nie będzie i wierny w tej dużej. Jeśli wciąż przekonany jesteś, że teraz pora na naukowców, którzy lepiej nami porządzą, to powiem Ci, że myślisz tak tylko dlatego, że oni Cię do tego próbują przekonać. A przekonują Cię tak tylko dlatego, że uważają, iż jeszcze trochę za mało się nakradli.

Dzisiejsze GMO? Dzisiejsze szczepionki? Dzisiejsze psychotropy? Media przekonują nas przecież, że za mało jest pieniędzy na psychiatrów w szkołach. Nie wiem, czy wszystkie te drobne namiętności są dla Ciebie nieistotne, albo mało istotne, ale ja ze swojej strony zrobiłem tylko tyle, aby zwrócić Ci uwagę na pewien problem.

Oczywiście samo GMO jako pomysł o pewnym potencjale nie jest niczym złym. Pozwala marginalizować biedę w krajach, gdzie jest to konieczne. Jednak o ile w Internecie dostrzeżesz mapkę, z której widać, że cała Afryka obsiana jest GMO, to wiedz, iż jest to jedna wielka bujda na resorach. GMO

jest tam zjawiskiem na tyle marginalnym, że zajmują się tam tym tylko nieliczni pasjonaci. GMO było też najprawdopodobniej powodem masowego pomoru pszczół na Ziemi, ale tak bardzo trudno było to przyznać, że dopiero po wielu latach wymyślono argument jakiegoś unikalnego wirusa... który wziął się nie wiadomo skąd i nie wiadomo dlaczego akurat teraz na Ziemi.

Złym jest to, że władza uchwyciła się kwestii GMO tylko po to, aby przekonać nas, iż to jest modnym złotym środkiem, na który dziś jesteśmy skazani. Zgodziliśmy się po cichu, zresztą nie mieliśmy prawa głosu. Zgodziliśmy się My, wszyscy obywatele tego świata, aby zrobiono z nami absolutnie wszystko za pomocą tej prostej koncepcji. Samobójstwa rolników z powodu kar, potem niemożliwość obsiania własnego pola własnym zbożem, gdyż to zboże, będąc zapyłonym przez GMO stanie się za każdym razem argumentem specjalnej komisji na narzucenie nam innych horrendalnych kar. Albo fakt, że jedna z firm na tyle zdominowała w tej kwestii rynek, iż można obsiać pole tylko ich kukurydzą. Tą kukurydzą, która genetycznie ma w sobie zakodowaną produkcję środka chwastobójczego. Zresztą potencjalnie rakotwórczego. Czy w jakiś magiczny sposób osiada się on tylko na delikatnych końcóweczkach listków? Odpowiedz sobie sam mój Drogi.

Nie popuszczę jednak kolejnego przykładu obrazującego coś, co chcę wyrazić.

Choć wiemy, iż wszystko to jakoś powinno nas mało dotyczyć. Iż to wszystko jakoś powinno być obok nas i powinniśmy mniej zabiegać o troski tego świata, a bardziej skupić się na utrzymaniu ciepła rodzinnego i o

właśnie tą TROSKĘ nad rodziną... To jednak. Tak jak i Ty drogi Czytelniku, żuleś przynajmniej raz w życiu gumę do żucia. Pewnie była smaczna, a sam Papież Jan Paweł II kiedyś podczas wizyty w Polsce został zapytany przez dziecko, czy żuje pewną konkretną gumę do żucia... to jest jednak pewien problem.

W jednej z firm. Polskich korporacji, w których większość z nas od niedawna masowo pracuje, cięto koszty. Pojawił się jednak pewien „geniusz marketingu”, który obiecał gigantycznie i ambitne cięcie kosztów. To, co tu napiszę jest niestety stuprocentową prawdą. Nikt mu nie wierzył, ale wkrótce tego dokonał. Zamienił jeden z głównych składników gumy do żucia, który i tak specjalnie drogi nie był, na o wiele tańszy. Tym składnikiem był smar używany do uszczelniania łodzi podwodnych podczas drugiej wojny światowej. Choć brzmi to niewiarygodnie, to jednak bardziej niewiarygodne jest to, iż z łatwością znalazł sprzedajnego naukowca, który mu to „klepnął”. Jeśli więc zastanawiasz się dlaczego wypluwasz każdą gumę do żucia po półtorej minuty, a żucie jej przez ponad 5 minut powoduje u Ciebie mdłości, to już teraz Mój drogi Czytelniku wiesz.

Czym jest więc ten płaszcz arogancji o którym w tym rozdziale piszę? Czy chodzi o władzę? Kto do niej należy? Tajemnicza grupa ją „trzymająca”. My? Ludzie? Przecież codziennie spotykamy się z podobnymi sytuacjami w życiu, a jednak zobowiązani tajemnicą, bierzemy kasę przeważnie za dotrzymanie tej tajemnicy. Zło ma niejedno oblicze, a choć zawsze wygląda tak samo, ideą zła jest to, iż zawsze zmierza ku samozagładzie. Zło bowiem jest tak

potężne, jak strach przed jego skutkami – *Malum est talis potens qualis euis causae timor*. Tym złem jest najczęściej arogancja.

Jednym z mechanizmów arogancji jest to, że człowiek, który znajduje dowody na to, iż jest lepszy od innych, używa tych dowodów do stworzenia swoistego kokonu – płaszcz arogancji. W drobnej wersji nie wydaje się to aż tak złe. Pomaga w silnej woli, pewności siebie, czy umiejętności szukania wsparcia. Każdy sukces po prostu utrzymuje nas w przekonaniu, iż jesteśmy lepsi od innych. Jeśli jednak wszystko to działa coraz lepiej, to wspomniane przeze mnie przymioty powodują, iż człowiek szuka coraz więcej dowodów na to, iż jest lepszy od innych. Tych dostarcza mu nie obcowanie z tym, co poza tym płaszczem arogancji, ale obcowanie z tym, co wewnątrz niego. Jeśli jesteśmy lepsi od innych, a więc to my jesteśmy lepsi, wartość jest w nas i naturalnym jest wniosek, że we własnym wnętrzu trzeba szukać jej źródła. Nawet jeśli jest to świat wewnętrzny biologicznie, gdzie doświadczamy coraz wyraźniejszych podpowiedzi podświadomości i tego, co serwują nam nasze geny. Po prostu dzięki arogancji nakręcamy się wewnątrz. Nie musi to być jednak tylko świat wewnętrzny. Równie dobrze może być i zewnętrzny, choć także rodzina, najbliżsi, czy ogół wszystkiego tego, w czym żyjemy, a więc i świat. Kiedy jednak zamykamy się na to, co znajduje się w tym właśnie płaszczu arogancji, nie tylko izolujemy się na wszystko inne, ale to, co w środku szybko zaczyna się wypalać. Przestajemy po prostu widzieć wyjątkowość w tym, co poza tym płaszczem arogancji. A więc i gruby płaszcz zaczyna z czasem być naszym

kagańcem. Tak wygląda jeden z mechanizmów zła. Bardzo istotny w tym, co opisałem.

Jak więc wygląda nasza reakcja na to, że inni są również wyjątkowi? Jak wygląda nasza reakcja, że „dowody iż jesteśmy lepsi” są złudzeniem, przyjemnym wrażeniem, które tylko od czasu do czasu dosala sól? No jak?

Czasem my wszyscy bawimy się w tą arogancję. Tacy jesteśmy i upadamy. Wychowywani na tym świecie cały czas w świetle bylibyśmy tylko ślepi, niewdzięczni i nijacy. Raz więc na jakiś czas wpadamy w ciemność, gdzie nie ma światła. Tego światła, którego potrzebujemy i tylko od nas zależy, czy dokonamy cudu, aby sami z siebie się na to światło zdobyć. Bo wtedy znakomita większość z nas zrozumie, że jeśli jeden to potrafi, potrafią to i wszyscy. Wtedy też możemy znów przynieść światło temu światu i jako tacy wrócić do pełni światła.

Wielu mówi, że gdyby mieli przeżyć to życie jeszcze raz, to chcieliby mieć dzisiejszy rozum i wczorajsze ciało. Tylko czy to prawda, że tak naprawdę można? Czym byłby rozum, który nie doświadczył upadku i nie postanowił się odnowić? Czym byłoby też takie ciało? Nie można uszanować nikogo, kto by się nie uwolnił, ale czynienie czegoś uniwersalnym zawsze polega na wracaniu do linii prostych. Czy uzasadnia to nasze błędy? Czy uzasadnia to teorię, że bez nich nie potrafilibyśmy odróżnić tego co złe, od tego, co dobre? Nie. Uzasadnia to tylko nasze wybory i na przykład umiejętność odrzucenia arogancji, bo kiedy wszystkie karty wydają się już rozdane, wciąż można zburzyć to, co pewne i budować siebie od nowa. Siebie.

Ten świat może nie jest i idealny, ale jak na razie to jedyny świat, jaki mamy. Problem tkwi jednak w tym, że ten mało idealny świat, serwuje dość duży postęp społeczny. Jeśli ktoś wpada na pomysł ograniczenia naszego dostępu do informacji mówiąc „Party Over”, to musi też wiedzieć, że myśmy się i najedli i dobrze nabawili. To zbyt wiele nie zmieni. Wielu z nas patrzy na to wszystko i dostrzega prosty wniosek. Prosty wniosek, iż dotychczasowa arogancja władz, które za kiego Mariana (a Marian to nie imię, Marian to funkcja!) nie tylko nie mają żadnej styczności z tym społeczeństwem, nie tylko nie widzą wyjątkowości dzisiejszego człowieka, ale też z czasem stają się coraz słabsze wobec tego, co My wszyscy, suweren sobą prezentujemy. Jak więc utrzymać władzę opartą na podziale terytorialnym, jeśli większość z nas prezentuje sobą od niej większy poziom? Chyba się nie da i to jest niestety smutne. To jest niestety największe wyzwanie dla dzisiejszych władz i dzisiejszego establishmentu. Jeśli bowiem zarządcy powiedziec, że samo zarządzanie jest najprostsze na świecie – siedzi się na czterech literach i wydaje polecenia, ten odpowie nam, że wcale tak nie jest. Trzeba wydawać takie polecenia, aby wszyscy ich posłuchali. Jeśli wydaje się polecenia bardziej świadomym niż my sami, to niestety do niczego nikogo zmusić się nie da, a władza ma to do siebie, że przecież polega na wymuszaniu pewnych zachowań. Stąd w przyszłości zarządzanie bazujące na podziale terytorialnym nie będzie miało sensu – o społeczeństwa będą bardziej świadome od zarządzających. A co uratuje władzę? Ich arogancja i snobizm? Te są pierwszą przyczyną dla buntu.

Zapewne myślisz Mój drogi Czytelniku, iż obrazek, który umieściłem na stronie tytułowej tej książki to „ikonka czasu” jakich wiele w Internecie, czy w niektórych programach informatycznych. Nie, to foton. Tylko foton.

Rozdział III

Duch tego NARODU

„Najważniejszy w świecie wiersz o nicości”

W obliczu rzeczywistości nie dającej odpowiedzi

Sięgamy garścią w nicość

Nie ma tam nic, a jednak...

Sięgając w nią marzeniami i własnymi planami

Wydobrywamy drobne petutki, pieszczotliwe filuteryjki

Okraszone złoceniami

A gdy tak sięgając nawykamy do takowego daru

Nicość daje nam już tylko nic

Bo jest tylko próżną ułudą i marą

W bezmiarze zwątpień i pytań dlaczego

Chcąc więcej czegoś tak wspaniałego

Nicość daje nam test, przez którzy przejdą tylko nieliczni

Aby jedynie tym dać wielkość i to, czego chcieliby absolutnie wszyscy

A choć nie wiedział tego Kant niestety

Większość wyobraźni bierze się z naszej reakcji na nicość

A to już „na szczęście”, czyli też „stety”.

autor

Oglądając reklamy łatwo jest dostrzec, iż te, które są najbardziej skuteczne, tworzone są według pewnego wzorca. Podobnie zresztą każda sztuka

komercyjna rządzi się określonymi prawidłami. W przypadku samej reklamy, ta jest najbardziej skuteczna, gdy odnosi się w swej treści do trzech kryteriów. Po pierwsze, dobra reklama musi promować zabawę, a nawet sugerować się hasłem „życie to impreza”. Po drugie skuteczna reklama musi zawierać w sobie tzw. „język korzyści”, czyli to, co jest tematem reklamy musi być przez podświadomość odbiorcy uznane za korzystne. Po trzecie jednak, jeśli już się dobrze bawimy, a w związku z tym osiągamy takie „przyjemne z pożytecznym” podświadomość ludzka wręcz zadaje nam pytanie, czy gdzieś w tym wszystkim jest jakiś „haczyk”. Trzecim więc kryterium, oprócz promowania zabawy i języka korzyści jest „sugestia bezpieczeństwa”.

Naturalnie nikt w reklamach nie będzie nikogo przekonywał, że jeśli ktoś tak dobrze się bawił, iż przypadkiem upadł na nową kartę kredytową, to jest ona w stu procentach bezpieczna w użytkowaniu (choć reklamowanie produktów finansowych sugerujących ich bezpłatność uznaję za wysoce nieetyczne). Pewnie jednak i taka reklama miałaby jakiś tam sens.

Sugestia bezpieczeństwa jest adresowana bezpośrednio do naszej podświadomości, która to podświadomość tej sugestii wręcz żąda. Stąd wystarczy np. zmienić ton głosu na protekcjonalny, zawrzeć aspekt bezpieczeństwa w claimie, czyli takim „hasłem” związanym z firmą, czy produktem, albo np. pokazać w reklamie, iż wszyscy tak dobrze się bawili, iż musiała się pojawić Policja. To akurat w zupełności wystarczy naszej podświadomości, aby przekaz reklamowy zaakceptować. Cokolwiek dotyczącego bezpieczeństwa, a nawet coś dotyczącego jego braku powinno

być i zawsze będzie odpowiedzią na pewien głód naszej podświadomości w tym temacie.

Oczywiście takich mechanizmów można wyróżnić więcej i podam tu niektóre z nich. Człowiek, który pojmuję najczęściej „złe” wiadomości jako najbardziej atrakcyjne, skłonny jest przyjmować je tylko jako tak atrakcyjne, gdyż tak zaprogramowała nas Natura. Jaskiniowiec, aby przetrwać, musiał się po prostu liczyć niemal wyłącznie z mechanizmem walki. Stąd zasada „dobre wiadomości to złe wiadomości” jest naczelną zasadą tabloidów informacyjnych. Piszę o tym, gdyż nie jest jednak do końca tak, iż człowiek kieruje się wyłącznie strachem i wynikającą z niego nienawiścią. Jeśli na jednym biegunie mamy strach, to na dwóch innych biegunach można odkryć dwa inne pojęcia ten strach i siebie nawzajem eliminujące. Są to niezależnie wiara i fantazja. Obie właśnie mają te cechy eliminacji strachu, a dla człowieka wiara i fantazja to zjawiska całkowicie różne. Nawet jeśli wiarą jest wiara w prymat dogmy naukowej. Nawet gdy rozróżnienie wiary i fantazji w dzisiejszym świecie jest tak ogromnym wyzwaniem.

Innym jeszcze mechanizmem jest mechanizm, w którym można adresować do kogoś pewien osobliwy przekaz celem wzmożenia u tej osoby samej fantazji. Wystarczy bowiem w tym przekazie użyć trzech typów sugestii. Po pierwsze dyscypliny, po drugie szacunku do wyobraźni, a po trzecie manieryzmu, ale jak wspomniałem jest oczywiście takich mechanizmów o wiele więcej.

Piszę o tym wszystkim, gdyż dla mnie, przynajmniej na potrzeby tego rozdziału, istotnym będzie inny, bardzo konkretny zresztą mechanizm. Gdy

adresujemy się bowiem w swym przekazie do intelektu człowieka, powinniśmy w pierwszej kolejności nawiązać do wrażeń człowieka z jego przeszłości, potem do abstrakcji, wrażenia pustki, czy duchowości, a na końcu w tym wszystkim wyrazić niemoc przez wrażenie porażki.

Wiem, że może to wydawać się bardzo niepoprawne, jednak w tym rozdziale, niczego w swym warsztacie, zamysłu, czy stylu literackim nie zmieniając, postaram się polec. Zrobię to, gdyż próbując „sprzedać” Ci mój Drogi Czytelniku pewną wizję całości, zmuszony jestem do pewnej gry. Podobnej zresztą do drobnych gierek zakochanych, gdy ci często podważają podwaliny swego związku, aby okazując jak bardzo im na sobie zależy i jak dobrze potrafią wznieść się na wyżyny w próbie odbudowania tych podwalin... okazują sobie naprawdę jak bardzo się kochają. Pozostańmy jednak, przynajmniej tu, na poziomie przyjaźni. Muszę to jednak zrobić.

Jeśli bowiem wszystkie karty już zostały rozdane, a i wilk jest syty i owca cała oraz zjedliśmy ze sobą beczkę soli... kiedy wszystko zaczyna mieć i ręce i nogi... pozostaje jedno „ale”. Nie można bowiem uszanować nikogo, kto by się nie uwolnił, a czynienie czegoś uniwersalnym zawsze polega na powrocie do linii prostych. Jeśli bowiem jest „tak dobrze”, że może być już niby tylko gorzej, bo nic więcej zrobić się nie da, przychodzi czas, aby uderzyć pięścią w stół, zburzyć to, co pewne i odbudować dawną wielkość na nowych i lepszych zasadach.

Czy uda mi się ten zamysł? Ocenę pozostawiam Tobie, mój Drogi Czytelniku. Z mojej strony powiem, iż nie zrobiłem nic, aby ten rozdział popsuć celowo. W sumie to pisząc go bardziej liczę na cud w tej kwestii.

Czy zacząć więc może od kłamstwa? Wielu potrafi być niemal geniuszami eliminując jakikolwiek wręcz dysonans ze swych kłamstw. Gdy widzimy, iż coś w tym wszystkim jest „nie halo” pytamy ich, a ci odpowiadają „to idź sprawdź”. Oczywiście jest to argument z 4, 5, czy 6 klasy podstawówki, ale niemal zawsze się sprawdza. Jeśli więc nie zrobimy tego, musielibyśmy uznać ten argument za prawdziwy.

Jest jednak pewien wyjątek. Stricte naukowy zresztą. Warto bowiem w obliczu niemal nieuniknionej porażki wobec domniemanego kłamstwa poprosić, aby jego autor powtórzył to, co powiedział, tyle że w odwrotnej kolejności. Na mocy dysonansu w głosie, typowego dla hipokrytów i kłamców dostrzeżemy, iż osoba ta jakby przez „ton” swego głosu pokaże nam czasem, iż wszystko to jest kompletną bujdą, a nawet zaśmieje się z własnej niemocy i porażki w obliczu weryfikacji prawdy.

Hipokrytów wokół nas nie brakuje. Sam Chrystus powieszony został na krzyżu, na którym w owych czasach wieszano największych hipokrytów i ten krzyż, oraz ta niemoc wobec cierpienia miała w pewien sposób pokazać ówczesnemu społeczeństwu czym kończy się sama hipokryzja. Krzyż w owych czasach był więc oznaką największej hipokryzji, a były to czasy, w których największą wartością była siła. Każdy, kto się jej sprzeciwiał, zwłaszcza przez nadludzki wysiłek, miał być uznany hipokrytą. Hipokrytą, który jakby (mówiąc to dziś) próbuje kijem wodę w rzece zawrócić, albo też rzuca się z motyką na księżyc.

Świat od tych czasów wielokrotnie już się przeobraził. Inne religie, które w swych podstawach pokazywały, iż to co cielesne jest sacrum, a to, co

duchowe to profanum, nie zdołały na swym podwórku wykształcić podwalin niczego, co porównywalne by było z tak arogancko krytykowaną „cywilizacją zachodu”. Owszem, filozofia przyszła do Europy z Indii, a metoda naukowa miała swe źródło w jednym z krajów muzułmańskich, jednak fakt twierdzenia w chrześcijaństwie, iż to co duchowe to sacrum, a to co cielesne to profanum dał podwaliny całemu dzisiejszemu obrazowi świata. Po drodze oczywiście wielkich obrzydliwości i krzywdy powstałej z różnych stron. Nigdy jednak w cywilizacji zachodu ciało nie było najważniejsze. Najważniejszy był duch. Adoptowaliśmy wszystko, co warte było nowego spojrzenia, ale byliśmy też w tym wszystkim bardzo krytyczni. Dziś ludzkość stoi w obliczu nowych nadziei, ale też i nowych zagrożeń. Pewne rzeczy muszą być tu i teraz zdecydowane, gdyż jeśli się tak nie stanie, przegapimy swą szansę. Przegapimy swą szansę jak zawodnik sportowy, który próbował dokonać swojego wyczynu o pół sekundy za wcześnie, albo o pół sekundy za późno. Co więc powinniśmy dziś powiedzieć?

Wciąż pozostaje bardzo istotne pytanie. Pytanie zresztą byłego ministra Rostowskiego do jednego z członków komisji vatowskiej: „Na jakim Pan świecie żyje”? No właśnie... Na jakim?

Ten świat jest z całą pewnością światem zglobalizowanym. Co to jednak oznacza i czy jest jakaś prosta definicja tej globalizacji? Oczywiście z mojej korespondencji z naukowcami, którzy w próbie odpowiedzi na te pytania bardziej zainteresowani są statystyką wielkości monet w historii Europy i zastanawiając się nad samym sednem globalizacji zwracają uwagę, iż proces ten zapewne zaczął się od samych pierwszych żyjątek jednokomórkowych

wędrujących pomiędzy oceanem spokojnym, a atlantyckim. One też niby „globalizowały” ten świat.

Według mnie sprawa jest dość prosta i oczywista, ale też podejście do niej jest odrobinę nietuzinkowe. To, co proste, da się bowiem zawrzeć w dwóch zdaniach. Oczywistość oznacza tu sumę optymalnej liczby prostych pomysłów, a unikalność, czy nietuzinkowość konieczna jest nie tylko ze względu na konieczność odróżnienia, ale też ze względu na konieczność wyróżnienia.

Definicji samej globalizacji nie należy mieszać w żaden sposób z wartością, jaką jest pieniądz. Pozostają nam jednak dwa najważniejsze czynniki, czyli komunikacja (jako przepływ informacji) i transport. To, że tak podchodzimy do sprawy już samo w sobie daje nam odpowiedź. Przed procesem globalizacji światowa komunikacja była uzależniona od światowego transportu (np. wysyłanie listów wiązało się z transportem morskim i nie było lepszej metody). W świecie zglobalizowanym to światowy transport uzależniony jest od światowej komunikacji. Czyli zanim odbędzie się dowolny transport pomiędzy kontynentami, musi zaistnieć wcześniej światowa komunikacja. Tak być wcześniej nie mogło ze względów technologicznych.

Ta światowa komunikacja zaistniała tak naprawdę w historii jednego konkretnego dnia, czyli dokładnie, gdy po położeniu transatlantyckiej linii telegraficznej wysłano pierwszy telegram. Dnia 16 sierpnia 1858. To od tego momentu żyjemy w zglobalizowanym świecie.

Ludzkość ma jednak to do siebie, iż od czasu do czasu, a tak naprawdę zawsze, uważa iż „czas w którym przyszło nam żyć jest czasem naszego końca jako ludzkości”. Sam pogląd zresztą, że „wszystko już zostało wymyślone, a cała reszta będzie tylko komplikacją tego, co zostało wynalezione wcześniej” ma już „lekko licząc” paręset lat. To tak, jakby teleportacja, napęd warpowy, replikacja (powodująca hipotetyczny problem „szarej B”), czy też okiełznanie „dziwadelka”, aby stworzyć technologię na wzór metalu z filmu „Transformers” było w jakikolwiek sposób komplikacją ołówka, gumki, żelazka, prezerwatywy, helikoptera i różgi dla niegrzecznych dzieci. Tuż po wojnie szef jednej z czołowych firm informatycznych, istniejącej zresztą do dziś (chodzi o „tą” firmę, z „tą” szufladą, która „od zawsze” mroziła światowy postęp), stwierdził, iż popyt na komputery w przyszłości nie przekroczy pięciu sztuk. Pokazuje to, jak bardzo się czasem jako ludzkość mylimy.

Gdzieś w tym wszystkim jesteśmy my, Polacy, posiadacze największego na świecie lobby technologicznego. Niestety skupionego nie na naszym kraju, ale na Polonii poza jego granicami. W kontraście oczywiście do Chin, które za kiego Pana Mariana (a Marian to nie imię, Marian to funkcja!) nie doszłyby do realizacji ambitnego planu Komunistycznej Partii Chin, gdyby nie postanowiły podzielić praw autorskich do kompletnie wszystkiego kompletnie wszystkim. Nawiasem mówiąc jakości uczył ich sam Konfucjusz, z czego do dziś są bardzo dumni. Pomijając naturalnie fakt, że Mur Chiński powstał tylko dlatego, aby bronić szlaków handlowych soli, a Chiny jako takie nie zawdzięczają swej wielkości jakimkolwiek konfliktom zbrojnym,

ale wysyłaniu kolejnej wypucowanej księżniczki do kolejnej wiochy i podpisywaniu z tą właśnie wiochą aneksu. Bo tak się „zakochała” w następcy ryżowego tronu! Oczywiście wszystkie podręczniki na temat prowadzenia konfliktów zbrojnych autorstwa chińskich myślicieli dowodzą, iż „obrona skuteczna nie istnieje”. Jednak My, Polacy, wiemy lepiej.

W obliczu brutalnych napaści dawaliśmy od zawsze satysfakcję agresorom i możliwość panoszenia się „po naszym”. Kiedy jednak wybitnie brutalni agresorzy uznali, iż wygrali absolutnie, Polak podniósł się z kolan i zrobił agresorowi takie „kuku”, że ten zdążył tylko powiedzieć „ja się tak nie bawię... bo wy oszukujecie!”. Sam Stalin kiedyś stwierdził coś w ten deseń, że prędzej krowę można nauczyć tańczyć i śpiewać, niż Polaka przekonwertować na komunizm. Dlatego też w Polsce nigdy komunizmu nie było i pozwoliliśmy sobie tylko na ugrzecznioną jego wersję czyli „socjalizm realny”.

Socjalizm realny opisać można kilkoma, dobrze odwzorowującymi nasze podejście do komunizmu anegdotami. Kiedyś na przykład do PGRu przyjechał jeden z tych młodych dyrektorów typu: „jest dobrze, a będzie jeeeszcze lepiej!”. Ludzie jednak wiedzieli jak jest i że im się to nie podoba, ale robić trza było! Zapytali więc tego młodego dyrektora, co mają robić? Ten im zaś odpowiedział: „Ja nie wiem, ale szukajcie, a znajdziecie!”.

Gdy postępował upadek PRL i każdy czuł, że po romantyzmie przemian przed 1980 i pozytywizmie przemian po 1980 ten wózek już długo nie pociągnie... większość z tych dyrektorów PGRów, ale też i szefów innych państwowych firm nie miała wyboru. Większość nie mogła już wyjść z tego

z twarzą, ale w nowej rzeczywistości chcieli mieć przynajmniej pieniądze. Typowy więc taki „dyrektor z zawodu” kupował za zakładowe pieniądze dwie skrzynki wódki, mówił: „Pani Jadziu, proszę mi nie przeszkadzać” i zamykał się w biurze ze sporą zagrychą. Tą żarł wręcz bulimicznie, wylewał mnóstwo wódki po biurze, rozwalał butelki, a potem dwie i pół z nich wypijał. Następnie kompletnie obrzygany zasypiał pod stołem. Oczywiście SKANDAL, ale gdy przyjeżdżała komisja, wiedzieli po co to wszystko. Jednak „żeby ratować sytuację” nie dawali dyscyplinarki, ale pokazną odprawę. W obliczu masowości tego procederu „na baka” władza PRL mówiąc, iż ma argumenty, już ich w rzeczywistości ani jednego nie miała. Trzeba było się dogadać. Okrągły stół okazał się w swym kształcie o tyle dobry, że zawsze widać było kto ściemnia, a kto nie. Widać było po prostu każdą reakcję komunikatu i werbalnego i niewerbalnego przez kogokolwiek przy stole. Przez wszystkich. Odzyskałiśmy wolność. Wolność, która raz na jakiś czas wymaga od nas pewnej dyscypliny. Żadna bowiem autentyczna wolność nie jest jedynie swawolą. Gdyby tak bowiem było, cmentarz pełen byłby nauczycieli zastrzelonych przez swoich uczniów.

Były układ próbował nieporadnie się bronić. Kiedy strona solidarnościowa wносиła postulaty, strona upadającego układu dodawała jeszcze więcej wybitnie ambitnych postulatów. Tylko dlatego, iż po cichu liczyli, że po dwóch tygodniach nowy układ padnie nie realizując żadnego z wytyczonych planów. Trochę się przeliczyli, a owocem tego właśnie podejścia podczas porozumień okrągłostołowych jest tzw. „Polska ekranowa”, czyli fakt, iż Polska jest krajem o największej w świecie liczbie norm i regulacji

dotyczących czegokolwiek. Czy to dobre? Wielu powiedziałoby, że nie, gdyż ogranicza wolność i powoduje absurdy urzędnicze. Wielu też poległo próbując forsować swe projekty, które okazały się nie przejść z powodu nedoróbek, kosztując czasem upadkiem firmy. Jest to jednak ten kraj, w którym jeśli tysiąc się stara, a jednego biorą, to dokładnie ten jeden zmienia niemal wszystko o wiele bardziej, niż romantyk poeta w restauracji na serwetce.

Choć to, co tu zaraz opiszę w ogóle nie jest anegdotą, to wszystkim nam należy się pewne oczyszczenie. Te nie może uwzględniać racji tylko jednej ze stron. Człowiek bowiem, uznany powszechnie za największego tchórza, czyli Prezydent Jaruzelski (ówczesny Pierwszy Sekretarz Generał Wojciech Jaruzelski) był człowiekiem, który został tak dobrany przez Związek Radziecki, aby w obliczu kryzysu z 1980 roku się poddać. Jego kariera, historia i profil psychologiczny zostały dobrze zweryfikowane przez sowiecki zarząd i obsadzenie go na takim, a nie innym stanowisku nie było przypadkowe.

W grudniu 1980 roku czołgi wcale nie musiały być na naszej granicy ze Związkiem Radzieckim. Prezydent Jaruzelski mówił jednak o tym, że zwłaszcza w tych czasach był skłonny do samobójstwa, a nabita broń leżała w jego szufladzie i czasem po nią sięgał. Do tego się przyznał. Wierzę jednak w pewien konkretny scenariusz. Być może dość kontrowersyjny, który był jednak chyba jedynym bohaterskim aktem tego człowieka. Aktem, który również zmienił historię.

Nie chcę wysnuwać tak daleko idących wniosków, iż zapewne Prezydent Jaruzelski trzymał nabitą broń przy skroni... bo mnie tam nie było. Wiem chyba jednak, dlaczego tak obrażającego ludzką naturę aktu jak samobójstwo nie dokonał. W obliczu faktu, iż Papieżem został Polak i chrześcijaństwo w całej Europie umacniając się dawało perspektywę upadku żelaznej kurtyny, moim zdaniem Prezydent Jaruzelski odłożył broń i wybrał życie. Wobec dokładnie tego faktu. Nadziei, jaką dawało chrześcijaństwo. Również ten akt zaważył w jednym z najważniejszych możliwych sposobów na dalszym przebiegu sytuacji.

Gdyby nie ten właśnie akt, w sumie heroiczny, tylko dlatego, że każdy, kto odstępuje od samobójstwa jest bohaterem, Związek Radziecki mógłby zrealizować w Polsce swój „plan B”. Związek Radziecki nie mógł po prostu wprowadzić tu już zarządu komisarycznego i w pół roku spacyfikować Polskę, włączając ją w struktury Związku Zdradzieckiego. „Stan wyjątkowy” był więc pewnym kompromisem. Z czasem okazał się też i konsensusem.

Nie chcę oczywiście bagatelizować okrucieństw, jakimi tamtejsza władza karmiła Polskę przez dalszych blisko 10 lat. Sama Solidarność upadłaby, gdyby na przykład jeden z dzisiejszych polityków, oskarżany o zbyt wiele, nie wywiózł pieniędzy Solidarności do USA. Szanuję jednak wolę tego człowieka do utrzymania tajemnicy w tej sprawie. Nie istnielibyśmy bez ludzi, którzy „zdradzili” PRL i byli podwójnymi agentami szpiegującymi dla CIA. Nie istniałaby również nasza „prywatna wojenka” ani bez tych Wielkich, Ważnych i Odważnych, którzy umierając za sprawę stali się naszymi symbolami narodowymi, ani bez tych, którzy dostarczali kanapki

do drobnych drukarni z ulotkami. Nie stalibyśmy tu dziś, gdyby nie Papież Polak, św. Jan Paweł II. Nie jest jednak tak, że jeśli o czymś się dziś nie mówi, to temat nie istnieje.

Największym jednak aktem heroicznym, który zburzył wszelką dominację komunizmu na świecie był akt jednego człowieka. Człowiek ten w obliczu absolutnie dominującej siły po prostu przeskoczył przez płot. Nieporadnie, zabawnie i w sposób, z którego dziś można ironizować i chichotać. Jednak zrobił to! Możemy udawać, że nie wiemy dlaczego, ale ten właśnie obraz utkwił z całego tego czasu nam w pamięci najbardziej. Można się oczywiście podłożyć pod czołg, ale sztuką jest wybrać życie i nie umierać za sprawę, ale dla niej żyć! Nawet jeśli jedynym co pozostaje, to „gest Kozakiewicza”, kiedy Ruscy podczas Olimpiady ustawiają poprzeczkę na 6 metrów i liczą, że są granice ludzkich możliwości.

Nawet jeśli w obliczu dzikiego kapitalizmu 1989-1997, gdy nasza klasa średnia biorąc pensję, idąc na urlop zdrowotny i odkładając pieniądze na koncie, gdzie te wręcz szalały, wyjeżdżała za granicę, aby w tym czasie jeszcze dorobić. Milion? Pożycz mi. Jutro przyniosę Ci dwa! Był to też czas dla wielu z nas, których jakiegokolwiek perspektywy opuściły i gdzie mogliśmy w obliczu cierpienia wyszeptać jedynie: „O take Polske walczyłem!”.

Dziś obcokrajowcy pytają, co oznacza ten „gest Kozakiewicza”. Oznacza on tylko i wyłącznie: „Tu się zgina dziób pingwina!”. Choć trudno to komuś spoza naszego kręgu kulturowego wytłumaczyć, to chyba jednak jeszcze trudniej jest ukraść nam tę wartość.

To w Polsce upadła żelazna kurtyna. Upadek muru berlińskiego był tylko tego konsekwencją, a sama rewolucja owych czasów w późniejszej Federacji Rosyjskiej skupiła się na zgromadzeniu się kilkuset Rosjan na mało istotnym placu. Nawet nie w Moskwie. Historycy uważają zresztą, iż byli to raczej statyści.

Również Polacy, którzy zdekodowali Enigmę, zawieźli podczas II wojny światowej Alanowi Turingowi do Paryża plany pierwszego na świecie komputera. Największa Wunderwaffe legła, a agresor całego świata mógł jedynie powiedzieć: „ja się tak nie bawię... bo wy oszukujecie!”.

Dziś czasy są jednak inne. Mamy inne wątpliwości, eksperymenty i poszukiwania. Dzisiejsza młodzież, ta od smartfonów, cukrzycy i gender, której płciowość rzeczywiście zaczyna się zacierać, woli nie wiedzieć. Istotne pytanie brzmi, czy powinna, a jeśli nie, to czy powinniśmy ją do tej pamięci przymuszać? Daliśmy sobie wolność i postawiliśmy siebie przed o wiele większymi egzaminami, niż te, które daje zniewolenie. W większości jednak zawiedliśmy. Czego więc żądać, jeśli sami nie daliśmy z siebie zbyt wiele? Może tego, że gdzieś w tym wszystkim pozostaje pytanie... co dalej? Chyba powinniśmy też odnieść się do inwigilacji i do faktu, że jeśli korporacje bronią się przed naszą rzekomą kradzieżą ich praw autorskich, to kto obroni nas w dobie inwigilacji przed kradzieżą naszych praw autorskich przez te korporacje? Może powinniśmy zabronić promowania jakichkolwiek form zbiorowej ksenofobii? Może powinniśmy uznać, iż „poczęcie” jest terminem na tyle abstrakcyjnie odległym, iż równie dobrze mogłoby oznaczać „cytowanie poezji” przez zakochanych? Może więc z tego powodu

powinniśmy rozważyć, czy „życie ludzkie zaczyna się w momencie uformowania się odrębnej ludzkiej zygoty”?

Może powinniśmy uznać, iż małżeństwo, jako przede wszystkim nadrzędna jednostka społeczna jest prawem tylko „jednego mężczyzny i jednej kobiety”... co nie wyklucza usankcjonowanych związków partnerskich osób dorosłych (bez ilości), których podstawą nie może być ani przemoc, ani gwałt. Może wreszcie powinniśmy powiedzieć, iż Rzeczpospolita Polska jest państwem o ustroju decyzyjno-kompetencyjnym, gdzie żadna oficjalna władza ustrojowa nie może zostać nadana na podstawie mocy uznaniowej. Jest bowiem taki czas, gdy to, co było wszystkimi naszymi namiętnościami w przeszłości, dziś nie jest już aktualne. Rzeczywistość uodporniła się również i na stare kłamstwa, a czas który mamy dziś, czeka na wielu z nas. Na wielu z nas czeka tak, jak na nową jakość odświeżającą idee przeszłych klasyków. Bo kiedy bokser osiągnie już wszystko, musi przejść do narożnika. Jeśli tego nie zrobi, jego zmagania przybiorą charakter tylko i wyłącznie zemsty. Zemsty za to, iż nie rozumie dlaczego kiedyś miał rację, a teraz już jej nie ma. Zamykając przeszłość jest czas na otwarcie nowego etapu. Etapu o wiele większego, niż ten, który sobie do tej pory wyobrażaliśmy.

Żyjemy w czasach, gdy co rusz jeden z nas albo przy grillu, albo w swych czterech ścianach z sufitem wpada na jakąś genialną koncepcję. Co z nią zrobić? Może napisać do najbardziej zainteresowanych mówiąc: „E... weźcie zróbcie”? Oczywiście korporacja nie jest zainteresowana braniem takich pomysłów. Problem bowiem tkwi w zapłacie za nie. Lepiej takie pomysły

kraść. Z czasem więc przyjęliśmy model, gdzie wszystko, co napiszemy na komputerze, czy to, co powiemy przy smartfonie praktycznie „na legalu” służy jako usprawnienie technologiczne czegoś większego. Przynajmniej w teorii. Można się przed tym oburzać, ale to niestety ta technokracja, która jako najwyższa forma marksizmu odbiega od kapitalizmu, a tym bardziej od demokracji. Żyjemy tak, bo niestety jak na razie lepszego pomysłu nie ma. Nie będzie też i do ery, w której wynajdziemy napęd międzygwiazdny, tym samym zostając przyłączeni do Uniwersalnego Imperium, w którym przejmemy jako „świeża krew” prezydencję. Pewnie na jakieś 16.000 lat, póki ktoś inny tego nie dokona. Jak na razie technokracja jest czymś teraźniejszym i namacalnym. Największym zaś narzędziem technokracji jest mediokracja, czyli rządy oparte na kontroli społeczeństwa przez media. Jest to coś, z czym dziś realnie musimy sobie radzić. Czy to źle, czy dobrze? Spróbujmy na to popatrzeć z perspektywy pewnej szansy.

Każdy bowiem w obliczu wszystkiego, co tak ustalone na ostatni guzik może wprowadzić swoją drobną wartość dodaną, która odwróci pewne z góry ustalone tendencje. Taki „skok przez płot” każdego z nas może rzeczywiście okazać się gigantyczną przemianą i skutkować konsekwencjami niemożliwymi do opisanego przez najwybitniejsze autorytety. Prosty przykład? Proszę bardzo...

Rzecz dzieje się w korporacji, podzielonej zresztą na kilka działów. Każdy zarządzany jest przez pewnego menadżera, który rok w rok musi przedstawić swój budżet. Nie tylko ten na przyszły rok, ale też rozliczyć się z tego wcześniejszego. Każdy z tych menadżerów wie, że od tego jak to zrobi,

zależy to, czy otrzyma nie tylko pieniądze na swoje plany, ale też pulę dodatkowych pieniędzy dla najbardziej opłacalnego działu. Każdy więc przedstawia najlepszy budżet, jaki można sobie wyobrazić i jest to budżet opracowany największym wysiłkiem. Jeden tylko z tych działów dostaje dodatkowe pieniądze. Wtedy też dział ten jest zobligowany do napisania jeszcze lepszego budżetu w nowych okolicznościach. Mechanizm prosty? Owszem. Nazywa się „optymalizacją budżetu”. A jednak dziś ekonomiści całego świata nie rozumieją skąd ten fenomen 500+ i jego przełożenie na wzrost gospodarczy.

Drobna, powszechna i systematyczna pomoc finansowa optymalizuje bowiem domowe budżety, racjonalizuje decyzje konsumenckie i na zasadzie ekonomicznej inercji wpływa pozytywnie na wzrost gospodarczy oraz jego dynamikę (tą mierzymy na podstawie „drobnego, systematycznego i powszechnego” wzrostu majątności społeczeństwa).

W warunkach, kiedy dane gospodarstwo klasy średniej zarabia w warunkach polskich 4.500 PLN przez małżonka, a 2.500 PLN przez małżonkę (udowodniono, iż w warunkach USA, gdzie klasa średnia zarabia odpowiednio w takim właśnie przedziale „górnego granicy średniej”, czyli około 80.000 USD od osoby jest to grupa ludzi najbardziej zadowolonych z życia – choć jest to mała różnica w stosunku do tych, którzy zarabiają mniej, albo więcej), to łącznie zarobki w całej rodzinie wynoszą 7.000 PLN. Są to zarobki rzeczywistej klasy średniej, choć tą można liczyć już od 4.000 PLN na gospodarstwo domowe, jednak nie wyżej, niż 12.000 PLN na gospodarstwo domowe, gdyż wtedy mamy do czynienia z „klasą

uprzywilejowaną”. Dla klasy średniej są to kwoty umożliwiające w obecnych czasach wydanie dziennie około 100 PLN i życia tak, aby „na wszystko co potrzebne wystarczało”. Przypomnijmy, że to właśnie ta klasa średnia jest największym motorem gospodarki, nie tylko ze względu na swą ekonomiczną moc sprawczą, ale też praktycznie żadna przemiana polityczna na świecie nie może się obejść bez adresowania się do tej grupy i jej wsparcia. To właśnie ona najczęściej przejmuje inicjatywę. Najczęściej jej motywacją nie jest egoizm, ani altruizm, ale działanie z powodu długu społecznego.

Wszelkie programy społeczne powinny więc służyć temu, aby tą właśnie grupę powiększyć, co stało się celem na przykład Prezydentury Baracka Obamy i źródłem jej sukcesów. Polityka republikańska w tej kwestii uznaje prymat klasy uprzywilejowanej, która inwestując na danym regionie wspiera lokalne społeczności i dając pracę wzmacnia ekonomię („teoria skapywania”). Oczywiście efekt taki występuje w stopniu znikomym, gdyż przeważnie gdy bogaty staje się bogatszym, to biedny staje się biedniejszym. Prowadzenie jednak polityki 500+ przekłada się na większy wzrost gospodarczy. Łatwo to wyjaśnić na prostym przykładzie. Jeśli rodzina ma w swym portfelu 7000 PLN to dobrze wie na co je wyda, a pieniądze ten wynika z kapitału, który wypracowali. Dodatkowe jednak 500 PLN, lub 1000 PLN, których nie wypracowali, sprawiają, że pojawia się pewien ciekawy efekt. Mając mniej, najczęściej ludzie podchodzą do takiego stanu posiadania jak do kary i nie są w stanie tak niskiego stanu posiadania uszanować. Owszem, sami siebie szanują, ale mniej szanują to, co mają. Jeśli jednak dostaną do

tych pieniędzy finansową nagrodę... praktycznie za to, iż po prostu „są, jacy są”, a więc w ich koszyku pojawia się drobny dodatkowy pieniądź, którego nie wypracowali... to dzieje się cała magia. Zamiast wydawać każdy grosz, który i tak wydać muszą, w dodatkowych warunkach biorą cały swój wcześniejszy kapitał łącznie z pieniędzmi dodatkowymi i nakreślają o wiele bardziej wyrazisty plan... na przykład jak wiele mogą dzięki temu osiągnąć. Dokładnie dlatego, że nie cieszyły ich wcale pieniądze, które dostać i tak musieli, ale największą satysfakcję osiągają z tego, że dostali pieniądze praktycznie „za nic”. Na podobnej zasadzie działa Lotto, albo kasyna – choć kasyno zawsze wygrywa, to ludzie wiedząc, iż stracili fortuny, cieszą się najbardziej za każdym razem, gdy uda im się wygrać drobną sumę. To właśnie ta kwota na podobnej zasadzie jest celem największej satysfakcji w idei 500+. Choć zapewne mechanizm ten ma swoje przełożenie na naszą genetykę, to jednak tak daleko nie spróbuję się posunąć w eksplikacji tego faktu.

Stąd w nowych warunkach i z nową gotówką podsumowujemy wszystkie nasze wydatki i idąc do sklepu, podejmujemy o wiele bardziej racjonalne decyzje konsumenckie. Oczywiście to pieniądź powinien w linearnym układzie najbardziej nabierać na wartości, jednak w praktyce widać, iż najbardziej od tych pieniędzy rośnie wzrost gospodarczy. Który to wzrost jest zresztą fenomenem w Polsce od czasów wprowadzenia polityki 500+. Tak więc państwo płacąc swoim obywatelom za każde kolejne dziecko, czyli udzielając drobnej, systematycznej i powszechnej pomocy, uzyskuje na zasadzie ekonomicznej inercji efekt, który jest kwotowo więcej wart, niż

zainwestowane pieniądze. Jest to jednak efekt na tyle nowy, iż trudno go do tej pory zdefiniować. Przypomnę, że 500 PLN to jakieś ćwierć tego, ile najmniej w Polsce, na normalnej umowie, można zarobić. Mała rzecz, a cieszy. Co zresztą zmienia polaryzację na polskiej scenie politycznej, gdyż Polacy widząc z jednej z stron, iż rzeczywiście jest lepiej, nie chcą pomimo wpadek PiS przenosić poparcia do innych partii. Partii, które obiecały, że 500+ zlikwidują. Zresztą z powodu własnej buty i arogancji.

Jeśli jednak naruszyć ten mechanizm, na przykład tak, jak to proponował Marks, aby nie była to drobna pomoc, a interwencjonizm (zwany tudzież „pomocą realną”) efekt ten nie występuje, gdyż interwencjonizm powoduje efekt odwrotny i negatywny. Gospodarka, jak wskazują na to przeszłe doświadczenia, „gnuśnieje” i psuje się. Jeśliby sprawić, że na przykład (według niektórych dzisiejszych koncepcji) pomoc ta nie byłaby systematyczna, a byłaby tylko jednorazowym dodatkiem przy rozliczeniu podatkowym, to też jest pewien poważny problem. Ludzie, którzy nagle otrzymaliby duży zastrzyk pieniędzy w pierwszej kolejności zostaliby skuszeni reklamami przez sieci handlowe, gotowe na ten zastrzyk. Od kwietnia do czerwca mielibyśmy „szok promocji” na wszystko, a ludzie wydając i tak o wiele więcej, niż są w stanie na o wiele więcej, niż potrzebują... nakupiliby szajsu, który i tak po roku w tym samym mechanizmie musieliby wymienić. Nasze decyzje konsumenckie (kupowano by nie kierując się rozsądkiem, a jego odwrotnością), będąc w ogóle nie racjonalnymi spowodowałyby upadek gospodarki, która sama drogo by za niego zapłaciła. Gdyby też pomoc nie była po trzecie powszechna, według

pewnego konkretnego kryterium, a dotyczyła tylko wybranych grup, jedna grupa bogaciłaby się, a druga biedniała, co eliminowałoby klasę średnią. Kryterium tej optymalizacji jest takie, a nie inne, podobnie jak nie ma czegoś takiego jak „najbardziej optymalny”, gdyż optymalizację wytycza się względem konkretnych kryteriów.

Oczywiście ktoś może powiedzieć, iż dzisiejsze kryterium jest niesprawiedliwe, gdyż dotyczy „wąskiej” grupy osób wychowujących przynajmniej dwójkę dzieci. Owszem. Tylko jeśli dać małżeństwom z jednym dzieckiem, to może dać i małżeństwom bez dzieci. Potem staruszkom, kawalerom, starszym pannom, kombatantom, pielęgniarkom, policjantom, lekarzom, hydrologom, ezoterykom, florystom... i tak dalej na zasadzie „kokoszka kaszkę ważyła... temu dała, temu dała, temu dała, temu dała, a temu łepkę urwała i frrrr... poleciała”. Może jeszcze lepszą zasadą jest stworzenie w innowacyjnym systemie „Projekt Polska” czegoś na wzór idei Czechów, gdzie zawsze można uprawiać pięć krzaczków marihuany w domu. Oczywiście gdy przychodzi Policja i pyta, czemu tych krzaczków jest jednak o wiele więcej, to taki ekspert od roślin twierdzi: „No jak to? Tu pięć krzaczków, tam pięć krzaczków i jeszcze tam pięć krzaczków... wszędzie pięć krzaczków!”. Polska komedią stoi, więc czasem trudno jest nam po prostu przyznać, że ktoś, kogo nie lubimy potrafi odnieść prawdziwy sukces. W tym przypadku jest to sukces PiS.

Pamiętajmy jednak, że jest to tylko jeden z genialnych pomysłów, które ktoś postanowił wziąć na tapetę i zrealizować. Te pomysły, które większość z nas ma na swoim komputerze, czy też mówi o nich przy smartfonie byłyby

jednak o wiele szczęśliwsze, gdyby ktoś je sobie „przytulił”. Jeśli jednak ten ktoś, na przykład dowolna dziś korporacja, „zaopiekuje” się tym, co nasze... to niech przynajmniej nie twierdzi, że to pojedynczy ludzie w tym społeczeństwie są dziś największymi złodziejami, bo to akurat nieprawda. Do czego piję? Do Artykułu 13. Kto bowiem obroni mnie przed tym, że korporacja może dziś za pomocą smartfonu zrobić ze mną wszystko, a ja z korporacją nie mogę zrobić nic. A nawet mniej.

Czy udało mi się osiągnąć cel na ten rozdział? No właśnie... Ani ja w tym rozdziale, ani cały Naród Polski w swej historii nie polegliśmy pomimo wszelkich starań, również własnych, po cichu czasem licząc na cud w tej kwestii. Wiele o sobie możemy mówić. Niektórzy mówią o nas, że największą ambicją każdego Polaka jest tylko przejmować się dniem wczorajszym i wymachiwać szabelką. Dla części zapewne z nas Polska to tylko miejsce na cztery ściany i sufit, gdzie każdy jest tym Imperatorem Świata, Wszechświata i Okolic podbijającym za dziesięć groszy resztę tego globu. Polska dla części z nas jest też tylko miejscem, gdzie każdy jakoś tam czuje... iż ma tego czipa w dupie i ściga go organizacja gorsza niż mafia. Możemy mówić o sobie w sumie wszystko. My sami. Najczęściej zresztą to robimy. Bo jedno... jedno co nas wszystkich zespala... to fakt, iż przede wszystkim jesteśmy najbardziej samokrytycznym narodem.

Rozdział IV

Integracja jako konsekwencja interakcji

„Systemowy Dogmat Dupy”

Gdy nie ma ludzi

Dupa się nudzi

I gdy nie wiesz

Że dupa się nudzi

Serce się łudzi

A głowa trudzi

Ale gdy wiesz

Że dupa się nudzi

Największe szczęście się budzi

Gdy jednak dupa i szczęście

To jedno i to samo

Największy jest dramat

Bo dupę wstrzymano!

autor

Wiem prawie wszystko i nie wiem prawie nic. Wiem również prawie wszystko inne. Wiem na przykład, iż jeśli wszechświat jest nieskończony, to też i ograniczony. Oczywiście Albert Einstein uważał na odwrót. Mam jednak dowód na poparcie swego twierdzenia. Jest nim „Microsoftowy problem pączka”.

Otóż praktycznie najbogatszy człowiek świata, lekko licząc, czyli Bill Gates, mógłby kupić niemal wszystko na tym świecie. Mógłby kupić tyle, że nie jesteśmy sobie tego w stanie w większości naszego społeczeństwa wyobrazić. Nie stać go jednak na jedną drobną rzecz, którą mógłby kupić. Jest to „pączek w sklepie po drugiej stronie ulicy”. Jak to możliwe? Wyobraź sobie Drogi Czytelniku, iż posiadacz jednego z najnowocześniejszych domów na świecie, gdy z niego wychodzi, zapewne wraz z okazałą ochroną, bombardowany jest wręcz przez wszystkich ze wszystkich możliwych stron i we wszystkich możliwych sprawach. Niemal każdy wyciąga rękę po „daj”. Stąd przejście się przez ulicę, gdzie każdy kupuje pączki jest dla Billa Gatesa niemal całkiem niemożliwe.

Oczywiście Bill Gates nie widział do pewnego czasu tego problemu. Rysował wykresy i diagramy o tym, jak chce wyżywić całą Afrykę. Na wykresach był chleb, było mięso, jabłka... itp. itd. Nie było jednak pączków. To nie załatwia problemu oczywiście, ale wykresy były. Oczywiście większość z tych wykresów było w kształcie właśnie pączka z dziurką. No cóż... głodnemu chleb na myśli.

Gdy problem urósł od anegdoty „wścibskiego Internauty” do poważnych rozważań w firmie Microsoft, jedna z najbardziej ambitnych i pracowitych pracownic tej firmy postanowiła się zwolnić. Tylko w jednym celu. Aby przejść przez ulicę i cyknąć sobie fotkę jak wcina pączka. Artykuł o tak niepojętym jej zachowaniu obiegł cały Internet. Oczywiście śledziłem sprawę od jej organicznego początku, ale już „kombajn internetowy”, czyli

najbardziej wpływowy portal społecznościowy wycofał mi niektóre z wpisów w tej sprawie.

Stąd ograniczenia zawsze są wpisane nie tylko w to, co robimy, albo to co czujemy, ale też niemal we wszystko, co nas dotyczy. Są bardzo ważne, określając na przykład co jest możliwe dla większości z nas. Dla reszty to, co możliwe, a co nie, jest tylko kwestią umiejętnego przesunięcia tych granic.

Wkurza mnie czasem gadka sterydziarzy „na bombie” o tym, jak ciężko muszą pracować, aby mieć tak „fantastyczne mięśnie”. Wkurza mnie czasem gadka typu „Jeśli jest ten, który uważa, że może i ten, który uważa, że nie może, to przeważnie obaj mają rację”, co zresztą powiedział Arystoteles. Arystoteles powiedział wiele dziwnych rzeczy, które nie do końca były prawdą. Prawda jest taka, iż przeważnie obaj są w błędzie. Jeden jest nadmiernym optymistą, a drugi nadmiernym pesymistą. Świetnie unaocznia to dowód niemieckich naukowców, którzy całkiem niedawno dowiedli, iż osoby otyłe, które ćwiczą, osiągają lepsze rezultaty, niż osoby szczupłe, które ćwiczą tak samo. Można więc twierdzić, iż ten, który ma problem i go rozwiąże, osiąga lepsze rezultaty, niż ten, kto tego problemu nie miał i nigdy nie musiał go rozwiązywać. Nawet ten problem jest pewnym wyzwaniem i pewną szansą, którą trzeba ogarnąć. Czasem bardzo zniechęcającą, ale jeśli obserwujemy wokół siebie ludzi sukcesu, którzy zdają się mieć wszystko, a my tkwimy w beznadziejności swych problemów... wiedzmy, że talent bierze się tylko i wyłącznie z marnowania swego czasu. Bez tego talentu nikt nie byłby w stanie stworzyć własnych, poważnych umiejętności, powstających tylko na zasadzie przemnażania talentu. Tak więc po co nam

spoglądanie na innych, którzy ogarnęli już swoją „garść potrzebnej łaski” i pną się tyle, ile piąć się potrafią? Jeśli tylko podjęcie przez nas systematycznej, regularnej pracy, na co często najtrudniej się zdobyć, będzie oznaczało, iż potrafimy o wiele więcej? Wystarczy określić konkretny plan, a kwestia „ciężkiej pracy” to bujda odstraszaająca potencjalnych konkurentów. Praca ma być realizowana systematycznie i jako taka powinna mieć racjonalny wymiar. Najczęściej też powinniśmy się skupiać na drobnym sukcesie każdego dnia. Jak z tej perspektywy wygląda odezwa Arystotelesa? Ci, którzy zmarnują więcej czasu i będą mieli więcej talentu, choć o wiele mniej chętnie zdecydują się na pierwszy krok, będą mogli więcej, niż Ci, którzy licząc tylko na siłę sprawczą własnego postanowienia, nigdy tego czasu nie marnowali. Dla tych pierwszych ludzie bez talentu, albo z talentem bardzo małym, czyli Ci drudzy, nie są żadną konkurencją.

Bóg, kiedy daje nam prezent, najczęściej opakuje go po prostu w problem. Z czasem jednak problemy nierozwiązane narastają, stają się problemem frustracji, potem coraz większej frustracji, a choć sama frustracja czyni mistrza, to często ta frustracja staje się największym problemem. Problemem, który warto rozwiązać.

Założmy więc, iż istnieje jakaś magiczna różdżka, którą dotykając można rozwiązać problem frustracji. Założmy, że po dotknięciu tej magicznej różdżki sama frustracja znika, a coś, co stało się ogromnym problemem, dzięki systematycznej pracy... po prostu zniknęło. Podam Ci mój Drogi Czytelniku taki sposób, bo choć jest on czasem wymagający i wymagający pewnej dyscypliny, to stosując go, przekonasz się, iż daje ewidentne efekty.

W pierwszej kolejności wyobraź sobie szereg „kolorów”. W dokładnie tej kolejności, jaką tu przedstawiam (tu nie ma błędu): biały, biały, biały, żółty, biały, zielony, biały, czerwony, biały, niebieski, biały, czarny, biały, jasno-brązowy, biały, ciemno-brązowy, biały, fioletowy, bordowy (czyli ciemnoczerwony), purpurowy, biały, przezroczysty, biały, szary, biały, złoty, biały, seledynowy (czyli jasno-zielony), biały, różowy, biały, błękitny, biały, symbol ying-yang, linia (wyobrażenie sobie linii nie musi zawsze oznaczać linię prostą), biały, pomarańczowy, linia, biały, zgniłozielony, linia, biały, pierwszy kolor niewyobrażalny, biały, drugi kolor niewyobrażalny, biały, trzeci kolor niewyobrażalny, linia.

Następnie wyobraź sobie to, co dla Ciebie najważniejsze.

Potem przejdź do wspomnień z przeszłości i przywołuj je przez około minutę. Następnie Wyobraź sobie (co wymaga dużej dyscypliny), kompletną pustkę we własnym umyśle tak, aby starać się nie myśleć o niczym. Ta część również musi trwać około minutę. Następnie spróbuj, również przez minutę, odczuwać wrażenie porażki.

Wyobraź sobie ponownie to, co dla Ciebie najważniejsze.

Skup swoją uwagę na czubku głowy, a potem wyżej, wyżej i jeszcze wyżej. Maksymalnie wysoko, jak się da. Następnie szybko przejdź ze skupieniem swej uwagi na tył głowy i zrób to samo. Tym razem skupiaj uwagę przenosząc ją maksymalnie w tył. Szybko przejdź do rozluźnienia przez jakby „wypuszczenie” tej uwagi po paraboli – od gardła, przez język, a potem zęby po brodę. To „skupianie uwagi” powtórz 3 razy.

Znów wyobraź sobie to, co dla Ciebie najważniejsze.

Następnie wyobraź sobie siebie w pewnych „stanach umysłu” w tej oto kolejności (możesz posiłkować się wyobrażeniami, które Cię naprowadzą na te stany): zabawa, korzyść, bezpieczeństwo, manieryzm, szacunek do wyobraźni, dyscyplina, fantazja, strach, wiara, atrakcyjność, barwy, poleganie na sobie, wolność, mądrość, praca, napięcie, erotyka, postępowanie według zasad, rutyniarstwo.

Następnie skup się na tych szeregu tych pojęć – kto, co, jak, gdzie, kiedy dlaczego, jedzenie, picie, seks, siku, kupa, regeneracja, wzrok, słuch, węch, dotyk, smak.

Skup się teraz ponownie na tym, co dla Ciebie najważniejsze.

Powtórz wszystko trzykrotnie od początku, czyli wyobrażania sobie kolorów do tego momentu.

Przejdź teraz do wyobrażania sobie rzeczy na „pograniczu absurdu”. Podam przykłady: „jeśli wąż zawsze pokona żmiję, to dwie żmije i wąż żyją w pokoju”, albo „jeśli Bóg stworzył pierwiastek tak odpowiedzialny za życie, jak węgiel, czyt też potencjalnie krzem, to musiał i stworzyć pierwiastek odpowiedzialny za duchowość, jak cez... który zaburza rozpad połowiczny węgla, gdyż odwrotnie do niego w czasie krótszym rozpada się chaotycznie, a w czasie dłuższym bardzo regularnie”, albo też: „świadomość ludzka w większości skupiona jest na ciele modelowatym, szyszynce i moście Varola, przez co jeśli mamy okrąg, a w środku punkt, to to co spoza okręgu może dotrzeć do punktu pokonując tylko opór nicości i na odwrót... a przez to tylko niektóre tylko myśli są na tyle mocne, aby zaistnieć w świadomości”. Rozważania te mogą być też bardziej złożone i jako takie stanowić z jednej

strony pewną odskocznją, a z drugiej stanowić pewną wartość dodaną dla siebie samego. Chodzi tu tylko o uwolnienie fantazji... Można też na przykład pomyśleć sobie coś w stylu: „jeśli weźmiemy koło, a te ma kąt pomiędzy dwoma promieniami i łuk pomiędzy tymi dwoma promieniami, to możliwe są tylko trzy stosunki, decydujące o trójwymiarowości przestrzeni wszechświata – stosunek kąta do łuku jest zawsze jednostkowy, a więc istnieje odległość, stosunek promienia do łuku ma zawsze charakter prostopadłości, a więc istnieje ortogonalność... oraz stosunek promienia do kąta ma charakter zmienny, a więc istnieje czas”... Często sam dochodzę do podobnych rozważań, których wartości nie jestem w stanie określić. W tej części tej techniki liczy się tylko to, aby wpaść na jakąś odłotową koncepcję. Nawet jeśli, gdy żadna nam nie przychodzi do głowy, zmuszamy się do czegokolwiek, co by ją przypominało. Przypominam, że chodzi tu tylko o uwolnienie fantazji, która może nam coś podpowiedzieć. Zdaję sobie sprawę, iż dla niektórych nawet to może być bardzo bolesne, jednak nawet modyfikując tą metodę, warto próbować wracać do jej literalności.

Następnie wyjdź na dwór i zrób godzinny spacer. Po powrocie zjedz coś, wypij coś ciepłego, połóż się i pooglądaj telewizor, albo posłuchaj muzyki, czy pooglądaj coś w Internecie. Ważne, aby była to czynność, w której Ty jesteś bierny, a świat pokazuje Ci, że jest w nim coś, oprócz wszystkiego tego, co potencjalnie zaprzęta Ci głowę. Oczywiście całość należy powtarzać regularnie. Technika ta eliminuje frustrację i sprawia, iż zamienia się ona w coś pożytecznego w Tobie, z czego będziesz zadowolony.

Piszę o tym również dlatego, iż każdy w tym kraju ma tego typu „patentów” mnóstwo. Siadając z piwkiem przy tym grillu większość z nas zauważa prawidła rządzące tym światem. Na przykład to, że to piwko jest na przykład zamykane kapslem i jeśli się je pije przy grillu, to może wpaść osa, a nawet szerszeń. Więc trzeba robić zatyczkę z gazety (kolejny patent), tyle że potem trzeba z tego gwinta pić, a to już nie jest higieniczne. Dlaczego by więc nie plastikowa butelka piwa do grilla z zamknięciem wielokrotnym?

Albo na przykład, gdy częstujemy kogoś fajką, a ten ma ufajdane łapska, to brudzi nam filtry reszty fajek. Stąd papieros powinien być raczej wyciągany z drugiej strony i byłoby to możliwe tylko wtedy, gdy drugi koniec byłby zablokowany papierkiem. Proste... W świecie nauki mówi się „co Fizyk to teoria”. W naszym kraju bardziej prawdziwym jest jednak stwierdzenie „co Polak to patent”. Mają się również Ci, którzy i wyrzekają się naszej „prywatnej wojenki” i zdają się bardziej wierzyć w to, co promuje tezę, że nasz kraj istnieje tylko na papierze.

Zacząłem ten rozdział tak, jak go zacząłem, aby uwiarygodnić właśnie poprzednią tezę. Owszem. Jesteśmy narodem, w którym każdemu przynajmniej raz na dwa tygodnie coś się w głowie urodzi. Jesteśmy też narodem, który jak jeden mąż nic za bardzo z tym nie robi i po tym grillu dalej pójdzie pchać ten wózek, bo przecież coś w tej Ziemi jest! Jesteśmy też narodem, który widząc Murzyna na ulicy nie potrafi zrobić nic innego jak tylko się na niego gapić (tutaj to taka forma wsparcia duchowego – wsparcie przez osądzanie). Gdzieś w tym wszystkim coś nam umyka.

Umyka nam to, że jeśli wszyscy patrzymy na pewne sprawy w dość podobny sposób, to wykopanie rowu... owszem, nie zajmie nam za dużo czasu. Tyle że więcej czasu zajmie już decyzja o jego zakopaniu, bo mało kto się przyzna, iż nie wiadomo po co został wykopany. Zajmie tak dużo czasu, bo żaden menedżer odpowiedzialny za ten „akt” nie będzie się chciał przyznać, że się pomylił. Zrobi wszystko, aby zamieść ten problem pod dywan i póki nie pojawią się urzędnicy, problem rozmyje się w niebycie.

Problem zbyt abstrakcyjny? To może ten bardziej realny.

Przedsiębiorca kupił działkę. Ktoś jakieś sto lat temu wykopał na niej rów od szamba, który zresztą nie ma już dziś ani logicznego początku, ani tym bardziej logicznego końca. Przedsiębiorca ma wybitne plany związane na przykład z fabryką kontrabasów i udało mu się nawet dostać wszelkie pozwolenia. Pozostaje jednak ten rów od szamba. Rów, który okazał się największym kosztem, gdyż przedsiębiorca nie tylko musiał udowodnić, iż jego zakopanie nie będzie stało w sprzeczności z polityką urbanizacyjną miasta, polityką obronności kraju, czy też nie wzbudzi protestów ekologów, ale też najważniejsze (czego przedsiębiorcy temu nie udało się zrobić przez półtora roku) – nie tryska z niego woda, niczym ze źródła o właściwościach zdrowotno-regeneracyjnych. Dlaczego tak długo to trwało? Gdyż przez cały rok przedsiębiorca ten zmuszony był robić zdjęcia tego rowu od szamba, czy czasem woda w nim nie przybiera. Ten, kto miał rzeczywiście do czynienia z urzędnikami w naszym kraju, wie że tak właśnie wygląda ten proceder.

Modnym na ustach śmiejących się przez łyzy jest przypadek „dotacji na podstawie plików jpg”. Kiedy rolnik dostał dotację na obsianie pola, zmuszony był się z niej rozliczyć. Rozliczenia dokonywano na podstawie plików graficznych, które były zrzutami ekranu z map google. Urzędnicy wpadli bowiem na pomysł, aby liczyć areał na podstawie właśnie tych zrzutów z ekranów. Nie dali się przekonać, gdy rolnik słusznie zauważał, że na jego polu są pagórki, a więc areał jest większy. Sprawy trafiały do sądu!

Jak to od zawsze tu wygląda? Pani Henia przychodzi do Pani Gieni. Mówi jej... słuchaj... moja córka wysłała już 400 CV wszędzie i nikt jej nie dał pracy... wiesz jak jest... Pani Gienia wie jak jest, a że nie ma serca z kamienia... Po jakimś czasie ta córka przychodzi do swojej babci i mówi... Babciu, ty głosuj na tych, a tych, bo jak nie zagłosujesz, to mnie wyrzucą z pracy. To obraz powszechny. To obraz polskiego neonepotyzmu, a sam neonepotyzm to nic innego, jak skrajnie skrajny idiotyzm.

Czy więc jesteśmy sobie w stanie pomóc? Robimy to przecież cały czas. Za każdym razem, gdy jeden z nas podkłada drugiemu z nas nogę i „robi pod górę”, tylko motywuje go do bardziej wydajnej i efektywnej pracy. Tak nawykliśmy do tego „kopa w górę”, że chylimy karku przed wszystkim, a gdy plują nam w twarz, my mówimy, że deszcz pada. Tak. Jeśli w piekle są gary z każdym narodem i przy każdym garze z każdym narodem stoi diabeł robiąc z każdego narodu z zupę... i gdy każdy diabeł stoi z wielką drewnianą łychą, aby jeśli ktoś będzie się próbował wydostać z gara, zaraz nią oberwie, to przy polskim garze nie potrzeba ani diabła, ani łychy. Jeśli któryś z

naszych próbuje się z naszej polskiej zupy wydostać, sami swoi wciągają go zaraz z powrotem... Nie jest to jednak rozdział o naszych przywarach.

Jest to jednak rozdział o integracji, która zawsze wynika z interakcji.

Mało z nas zdaje sobie sprawę, jak bardzo ten naród zyskał dzięki wynalazkom. Zwłaszcza „rewolucji rowerowej”. Przed wynalezieniem roweru dystans w jakim kojarzyły się pary do małżeństw wynosił od 5 do 15 km. To oczywiście oznaczało bardzo duży inbred i uwstecznienie genotypu. Jednak gdy ten rower wymyślono dystans ten wzrósł do około 30-60 km. To zaś oznaczało, iż cała Polska od razu stała się krajem ludzi o wiele bardziej zdrowych genetycznie, gdzie zmieniły się standardy piękna i inteligencji. Przestały obowiązywać te z „Wojny i Pokoju”, gdzie najbardziej urodziwą damą w towarzystwie była kobieta korpulentna, niska, z rozszczepioną wargą, wąsikiem... itd. itp. To społeczeństwo dzięki takiej zdobyczy mogło przejąć władzę na świecie i coraz bardziej wpływać na zmiany tego świata coraz bardziej też partycypując w globalnej puli sukcesów ludzkości. Bez zdrowia, inteligencji i częściowo rozproszonego modelu władzy ten świat dalej byłby skupiony wokół wąskiej elity monarchów jeżdżących karocami i tylko wysiłkiem wzajemnej integracji i współdziałania osiągnęliśmy to, co mamy dziś. Zarzewie czegoś wielkiego. Dziś bowiem, gdy już wszystkie karty zostały rozdane i coraz więcej wydaje się przesądzone, a to, co przesądzone, wydaje się przesądzone całkowicie, najdrobniejsza jednostka społeczna może wstać i przemówić głosem rezonującym z każdym. Nie dlatego, że uważa się za coś lepszego od innych, ale tylko dlatego, że wyraża się w wątpliwościach targających większość z nas.

Żyjemy w świecie zintegrowanym i w świecie pełnej interakcji, pełnego współdziałania. Z czasem stało się to problemem, gdyż podłączeni do smartfonów obecnych przy nas nawet we śnie oczekujemy transformacji 5G, kiedy to inżynierowie wprowadzą w życie technologię manipulującą i życie i człowieka, jako organizm żywy. Żyjemy w momencie, gdy już nic nie mamy do powiedzenia, a jeśli za 20 lat ktoś wpadnie na to, aby zredukować liczbę ludzkości o powiedzmy tyle miliardów, aby pozostawić tylko 100 mln ludzi – będzie to hipotetycznie możliwe i okaże się wyjątkowo proste, a nawet bezbolesne. Po co więc nam współdziałanie? Po co ta cała interakcja? Po co ta integracja? Po to, aby ułatwić jakiejś zbiorowej świadomości rozproszonego komputera stworzonej przez narwanym komputerowych frajerów nas wszystkich wyeliminować? To ma być ten wielki plan? Do tego to zmierza?

Nie. Nie do tego. Rozwiązaniem nie jest odłożenie smartfonu przez kogokolwiek, bo to już dziś niemożliwe. Rozwiązaniem jest korzystanie z większej ilości dobrodziejstw tego świata, niż smartfon. Czasem bowiem wydaje nam się, że skoro ten tak łatwo daje nam szybkie zaspokojenie, powinniśmy z niego korzystać najczęściej. Przez to odkładamy wszystkie te fajne rzeczy, zdobycze tego świata, które ktoś zrobił tylko po to, aby kogoś innego cieszyły. Jeśli dziś każdy przedział pociągu wygląda tak, że 99% osób wgapiona jest w smartfona, wyobraź sobie mój Drogi Czytelniku, jak szybko wymierają wszystkie te fajne koncepcje, które mogłyby nas naprawdę zintegrować. Wymierają jak gatunki zwierząt i roślin w XX wieku. Rynek niby się dostosowuje, a szczeniaki w podstawówce robią tylko to, co daje im

„primary satisfaction”, bo kiedy podpatrują dorosłych i próbują być tak samo dorośli – widzą tylko smartfony.

Jeśli więc chcemy więcej integracji i więcej interakcji – otwórzmy wszystkie te inne rzeczy, które być może zwłaszcza dziś przemówią do nas o wiele wyraźniej, niż smartfony. Spokojnie – smartfony będą tam dalej, a telefon prędzej, czy później i tak zadzwoni...

Del Fin